RZĄD OBRONY PAŃSTWA. — WYMARSZ OCHOTNIKÓW. — AKADEMICY W OBOZIE.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

N-r 32. OGÓLNEGO ZBIORU N-r 1,369 7 SIERPNIA 1920 R.

FOTOGRAF MODERNISTA
K. PĘCHERSKI
Nowy Świat 57, tel. 132-91.

Dr. JELNICKI choroby skórne i wenerycz. ROENTGEN
Marszałkowska 118. Telefon 108-61
10—1 i 5—7, panie 1—2.

Dr. GASZYŃSKI
CHOROBY KOBIET od 3—4 i 6—7
Marszałkowska 97a.

Lekarz-dentysta MICHAŁ KOZŁOWSKI (z Kijowa)
Ordynuje od 12—2 i od 5—7.
Al. JEROZOLIMSKIE 35 m. 3.

Dr. W. KNOFF
(Choroby nerwowe i wewnętrzne). przyjmuje od 6 do 7.
Wilcza N-r 46 (róg Wielkiej), tel. 11-74.

Dr. K. DŁUSKI b. dyrektor Sanatoryum w Zakopanem
przyjmuje stale od 11 do 2.
Wyłącznie w chorobach płucnych. ŻÓRAWIA 25.

ZE ZMARSZCZKAMI
piegami i złą cerą pań nie będzie!! Panie, chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, mieć naprawdę ładną cerę, pofatygują się od 11 do 5-ej, pracujące panie — w niedzielę 2—7-ej
Hoża 41-7 Paderewska-Gladych.



Sprzedaż Tygodnika Illustrowanego w dniu I/VIII na dochód Armii Ochotniczej Automobile, na których dzielni Cykliści od rana do nocy sprzedawali Tygodnik, były oblegane przez tłumy publiczności. — Olbrzymie ładunki zostały rozchwytane.

WINCENTY WABIŃSKI-S-ci
MAGAZYN JUBILERSKI
GMACH HOTELU EUROPEJSKIEGO
WARSZAWA
TELEF 186-15.

Wyroby
Srebrne i Platerowane
w dużym wyborze
poleca
K. GÓRSKI
(b. wsp. firmy Radkie)
WARSZAWA
23 Żórawia 23
tel. 187-00.



BIELIZNA DAMSKA
SUKNIE, BLUZKI,
WYPRAWY.

Gustaw Zmigryder
WARSZAWA. TEL. 93-52, CZYSTA 2.

F. IGNATOWSKI
Poleca wytworną bieliznę i konfekcyę męską, krawaty, laski, kapelusze, galanteryę
DLA WOJSKOWYCH OBUWIE AMERYKAŃSKIE i PŁASZCZE NIEPRZEMAKALNE.
WARSZAWA, Hotel Savoy NOWY-ŚWIAT 58, tel. 54-51.

SKŁAD SUKNA I KORTÓW
PAWEŁ DIPONT
DAWNIEJ HENRYK MEYLERT
UL. SENATORSKA N-r 11, TEL. 48-79
SPECYALNY DZIAŁ MATERYAŁÓW WOJSKOWYCH
DOSTAWA DLA ARMII
NOWOOTWORZONA FILIA SKŁADU UL. CHMIELNA N-r 15.

Księgarnie GEBETHNERA i WOLFFA
Warszawa — Lublin — Łódź — Poznań — Kraków, G. GEBETHNER i S-ka
polecają wydawnictwa znajdujące się na składzie głównym:
Remigiusz Kwiatkowski
LIRYKI Cena Mk. 3.—
Poezya i przyroda w Japonii Cena Mk. 1.—
Do cen powyższych dolicza się 20% dodatku drożyźnianego.

ELIXIR i PASTĘ GLOSSA do konserwacji i mycia zębów poleca Apteka Mag. Farm. J. GESSNERA Jerozolimska 25 w Warszawie

Warunki prenumeraty i ceny ogłoszeń na ostatniej stronie.

Cena numeru pojedyńczego Mk. 20.—

KUPCY i PRZEMYSŁOWCY

dbający o rozwój swych przedsiębiorstw niech śpieszą zamawiać ogłoszenia na tej stronicy, gdyż przejrzenie znajdującego się tu działu humoru zmusza do przeczytania ogłoszeń. Cena ogłoszeń wynosi tu Mk. 60.— za 1 cm. wysokości szerokości 1 szpalty. Wobec wielkości nakładu i wartości reklamowej Tygodnika Illustrowanego, który dociera do wszystkich zakątków Rzeczypospolitej (do Ameryki wysyła się przeszło 1500 egzemplarzy), ogłoszenia w Tygodniku Illustrowanym są:

NAJTAŃSZE
NAJSKUTECZNIEJSZE
a więc
NAJKORZYSTNIEJSZE.

PRZEWODNIK-INFORMATOR.

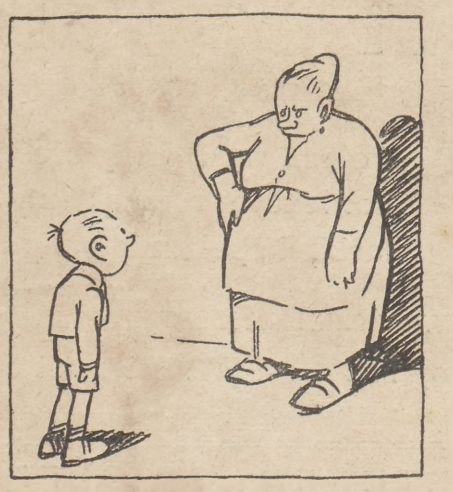
Na 3-ą stronicę okładki Tyg. Illustr. przygotowujemy Przewodnik-Informator Przemysłowo-Handlowy po Warszawie. Drobne ogłoszenia ułożone według działów Przemysłu i Handlu dadzą tak pożądany i potrzebny—a zawsze będący pod ręką materjał adresowy poważnych firm warszawskich.

Najmniejsze ogłoszenie (1 cm. wysokości) kosztuje Mk. 50.— jednorazowo. Ogłoszenia do Imformatora przyjmujemy conajmniej miesięczne.

W INTERESIE KAŻDEJ POWAŻNEJ FIRMY jest podać swój adres do Informatora.

Zamówienia przyjmuje Administracja Tygodnika Illustrowanego.

HUMOR NA OBU PÓŁKULACH.



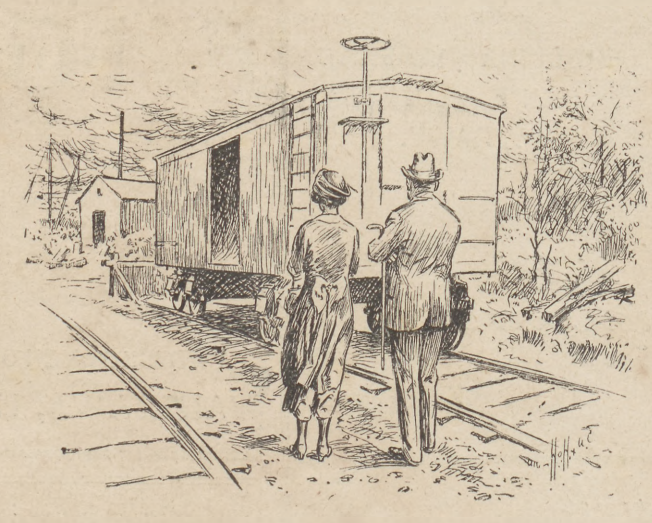
Finansista.

— Mamo — prawda, że frank znowu spadł — już teraz nie wart więcej jak trzydzieści pięć centymów

— Dlaczego mi to mówisz?

— Bo... bo ja zgubiłem franka co mi dałaś na piekarza.

La Bayonette (Paryż)



Wymagania maleją.

— Może tu być nawet zupełnie wygodne mieszkanie:—w jednym końcu urządzimy doskonałą sypialnię, a w drugim będzie znakomita kuchnia.

Judge (Nowy Jork)



Oj kobiety!

— Ależ nie, Henryku, ja nie zepsułam ci brzytwy, ja tylko jeden raz zastrugałam nią ołówek.

Judge (Nowy Jork)

Dopiero co opuściło prasę dzieło
X. Biskupa Łozińskiego z Mińska
CHRZEŚCIJAŃSKA MIŁOŚĆ OJCZYZNY i PRACA NARODOWA
Cena 28 mk.
Do nabycia we wszystkich księgarniach lub wprost od nakładcy:
Drukarnia I. B. Lange Tow. Akc. w Gnieznie.

Wydawnictwa **GEBETHNERA i WOLFFA**
Tadeusz Czapczyński
Metodyczny rozbiór „Pana Tadeusza“ w formie pytań
Cena Mk. 32.— + 20% dod. drożyźn.

Nr 32

Ogólnego zbioru № 3,169
Wydawnictwa rok 61.

7 Sierpnia 1920 r.

Tygodnik Illustrowany



ATAK

Rys. KAMIL MACKIEWICZ

2V

SIŁA A PRAWO.

Minęło 50 lat od chwili, kiedy w roku 1870-tym Prusy wypowiedziały wojnę Francyi, aby ją zhańbić, zdeptać, upokorzyć i cisnąć na świat hasło siły przed prawem.

Hasło to stało się źródłem zakażonem dla całego świata nowoczesnego. Z niego płynęła trucizna, którą karmiły się rządy i narody. Z niego wypłynął materyalizm naszej epoki, śmiertelny wróg ideału, patrzącego w słońce. W zwątpieniu i goryczy pesymizmu rosły pokolenia. W braku wiary w siebie gotował się odwet Francyi, który nigdy nie stałby się odwetem rzeczywistym, gdyby dufna w siebie i pełna pychy siła nie wypowiedziała znów wojny prawu i sprawiedliwości.

Stało się to przed sześcioma laty, w dniu 1-ym sierpnia 1914 roku. I oto po śmiertelnem zmaganiu się z sobą narodów na Zachodzie i Wschodzie Europy, po setkach stoczonych bitew, po latach krwawego wysiłku, okupionego zgonem milionów, stanął nowy pokój wersalski, zwiastujący wbrew poprzedniemu nie panowanie siły nad prawem, ale przewagę prawa nad siłą.

Ludy całego świata odetchnęły i z wiarą spojrzały w jutro, ufne, że stoją u wrót dziejów nowoczesnych, które położą kres niewoli.

„Nie będzie już uciśnionych i uciskających, nie będzie gwałtu, nie będzie jarzma nakładanego na szyję narodowi słabszemu przez naród silniejszy"—szła dobra wieść a pod jej wpływem otwierały się perspektywy na zgodną pokojową współpracę narodów dla wspólnego dobra, dla dalszego rozwoju i wzbogacania cywilizacyi i kultury, dla pomnażania dobra i szczęścia na ziemi.

Aliści nie spełnił się jeszcze czas, nie wybiła oczekiwana godzina wielkiej przemiany dziejowej, godzina prawa i sprawiedliwości. Na Wschodzie rozpaliła się pożoga nowej wojny. Na gruzach rozwalonej potęgi caratu rosyjskiego narodziła się zbrodnia, która opętała ciemne a chciwe używania i zysku masy. We krwi utonęły kwitnące dobrobytem miasta i wsie wielkiej Rosyi. Gwałt i mord zapanowały na szerokich przestrzeniach ojczyzny Dostojewskich, Niekrasowów, Tołstojów. Pod wodzą wcielonych szatanów rozpoczęło się tępienie tego, co było w Rosyi zapowiedzią jej odrodzenia, glejtem na jej wejście do grona cywilizowanych narodów świata.

Dawną samowładzę carską zastąpiła samowładza czerwonych sowietów, które w imię wolności i rewolucyjnych haseł nowego ukształtowania życia zaprowadziły najstraszniejszą jaka być może niewolę. Do jarzma nawykłe masy rosyjskie poszły w to jarzmo bez oporu, a władza sowiecka, zachęcona tem łatwem zwycięstwem u siebie, zapragnęła podbić cały świat, aby go ograbić, zniszczyć i zakuć w dyby.

Baryerą, która odgradza bolszewicką Rosyę od reszty świata, od tej zasobnej, bogatej Europy, gdzie spuszczony z łańcucha czerwony proletaryat rosyjski mógłby pohulać szerzej niż u siebie, w biednym i pustym już domu, stanowi młode, organizujące się dopiero państwo polskie.

Przeciw Polsce obróciła się więc nienawiść rządu bolszewickiego, przeciw jej prawu do odzyskanej samodzielności, do wolnego życia.

I oto niby dawny najazd tatarski runęły ku granicom Polski wszystkimi szlakami od Wschodu tłumne siły bolszewickie i ciemna czerń wielkorosyjska, nieuświadomiony Tatar, dziki Baszkir i Kirgiz i cały ten pstry, mongolsko-fiński świat narodów i plemion bez tradycyi, bez kręgosłupa historycznego, toczący się niby fala wielkiej rzeki, która wystąpiła z brzegów.

Fala ta podchodzi już pod nasz dom. Podmywa nasze słupy graniczne i jutro może je obalić, jeżeli nie rozbije się o wał piersi polskich, o bohaterski wysiłek narodu, który wie, czego ma bronić i za co najcenniejszą krew swoją przelewać.

Z woli historyi losy zostały rzucone. Jeszcze raz—tu na ziemi naszej, na krwią przodków przesiąkniętych jej polach rozegrać się ma śmiertelna i może już ostatnia na świecie walka pomiędzy siłą a prawem.

Po tamtej stronie jest siła, przeważająca liczebnie, ale ślepa i nieuświadomiona. Po naszej—jest prawo, jest sprawiedliwość, a w ich imię musi powstać mocna i niezachwiana wiara w zwycięstwo, prowadząca naród w ciężkich i trudnych dniach pod chorągwiami z napisem: „Honor i Ojczyzna" na nowe Termopile w dziejach świata, na walkę o byt lub niebyt nie Polski samej, ale całej Europy, jej kultury i cywilizacyi, zagrożonej przez barbarzyństwo.

PRZYCZYNY WOJEN POLSKO-ROSYJSKICH.

▽△

W czerwcu r. 1827-go, w belwederskim pałacu pod Warszawą, taka między w. ks. Konstantym a Adamem Czartoryskim toczyła się rozmowa:

— „Jest niepodobieństwem,—mówił ks. Adam—aby niesprawiedliwość mogła wyjść na dobre narodom. Polsce zaś stała się niesprawiedliwość. Należy ją naprawić, tyleż i bardziej jeszcze dla dobra Rosyi, ile dla naszego. A niepodobna tego uczynić inaczej, jak przez przyłączenie prowincyi zachodnich do Królestwa. Bez tego istnienie Królestwa byłoby fantasmagoryą; byłoby kaprysem politycznym, przeciwnym moralności i zdrowemu rozsądkowi; byłoby męką Tantalową, podsuwaną Polakom Cesarstwa... byłoby wystawioną na nich pułapką, aby się ruszyli, i ażeby następnie można było ich karać i męczyć, słowem byłby to stan rzeczy, ponad który nic bardziej nielitościwego i zbrodniczego zgoła wymyślić niepodobna... W chwili obecnej nasz byt jest zaprzeczeniem zarówno spokojności, jak bezpieczeństwa...”

— „Pan jeden powiedziałeś mi prawdę. Pan jeden nie zmieniłeś nigdy swoich przekonań i nie pomyliłeś się”—brzmiała niezwykła w swej szczerości odpowiedź cesarzewicza na proste i mądre słowa byłego kuratora wileńskiego.

Przed paru zaledwie miesiącami pisał Mikołaj I do brata, że nie może „dopuścić możliwości popierania myśli o połączeniu Litwy z Polską”, gdyż w jego przekonaniu „jest to rzecz niewykonalna... Przestałbym w moich własnych oczach być Rosyaninem, gdybym zechciał wierzyć w możliwość oddzielenia Litwy od Rosyi właściwej... Litwa jest r o s y j s k ą prowincyą, nie może być z w r ó c o n a Polsce, gdyż byłoby to zamachem na całość terytoryum cesarstwa”. („La Lithuanie est province russe, elle ne peut retourner à la Pologne, parce que ce serait attenter à l'intégrité du territoire de l'empire”).

W tym przedstuletnim prawie dyalogu podwójnym tkwi zaprawdę istota główna wiekowego zatargu polsko-rosyjskiego. Właściwą bowiem treścią wojen między Litwą a carstwem moskiewskiem, od wieku XV-go począwszy, była walka dwóch ośrodków państwowych: Wilna i Moskwy o wpływy na ziemiach litewsko-ruskich, i o to przy kim zespolą się one, czy przy carze tryumfującym nad tatarszczyzną, czy przy zwyciężającej Zakon krzyżacki Koronie polskiej.

Atoli przez pokojowe z Polską współżycie pogłębiły się znacznie różnice między ludnością w Litwie a mieszkańcami carstwa, wpływy polsko-łacińskie zmieniały tam zwolna, lecz stale strukturę społeczną, wyobrażenia religijne, samą nawet ruskiej ludności mowę, odmienną od dyalektu moskiewskiego. W trudzie zbożnym i walce kulturalnej sięgała polszczyzna w głąb samej Moskwy, przenikała do jej pojęć obyczajowych, na modłę zachodnią urabiała jej literaturę, budziła wśród bojarów zachwyt dla wolności polskich, dla Polski, „tego rozkosznego, a prawie świętego kraju”. Nawet prawosławne duchowieństwo jęło w XVII-em stuleciu po polsku uczone, teologiczne wieść spory, a czerńcy schizmatyccy uciekali w popłochu z Wilna, gdy nadciągał tu w roku 1655 szalejący niewysłowioną grozą najazd cara Aleksieja.

Niepodobna ściśle odważyć, ile ekspansywnej energii i mozołów, a przytem sił własnych zubożenia wniósł naród polski w ową olbrzymią pracę posuwania na Wschód europeizmu. Jest w niej ponad wszystkiem błysk zarywających ugory lemieszy, jest zwycięskich szabel płomień i szeroki pęd skrzydlatej husaryi. W politycznej rachubie, lub bez niej, na oślep twórczego instynktu swego kulturalnego posłannictwa szła Polska ku wielkim zadaniom, których pełnienie pozostanie na zawsze tytułem do wielkości i zasługi.

Z chwilą gdy nastąpił ściślejszy związek Litwy z Koroną, wojny z Moskwą stają się wspólnem zadaniem zuniowanej Rzplitej. Zmienia się tylko charakter tych walk— z obronnych za czasów jagiellońskich stają się zaczepnemi, dążą w myśl batoryańskiego programu do zahamowania rosnącej potęgi moskiewskiej. Próby podejmowane przez carów w kierunku zespolenia drogą pokojową obu organizmów państwowych nie miały powodzenia, pomimo nawet ujawnianych niekiedy przez Litwinów ku temu skłonności, wypływających z pragnień uzyskania za tę cenę bezpieczeństwa od Wschodu. Nie chciała tego jaśniejąca potęgą Rzplita, zaś Moskwa do Polski wyciągała w istocie rzeczy jedynie dłoń pożądliwą.

Może zaślepienie Zygmunta III, ale może i instynkt obawy przed samą fizyczną przewagą moskiewszczyzny powstrzymywał Polskę od ryzykownego sięgania po carską koronę. Walki trwały dalej. Lecz od drugiej połowy wieku XVII-go zmieniły się role. Rzeczpospolita osłabiona najazdami, zewnętrznie rozstrojona, rozpaczliwie jeno bronić się może. Jeszcze oręż polski odnosi niekiedy tryumfy, kłonią się powalone moskiewskie sztandary pod bohaterami Lachowicz i Cudnowa, lecz w ostatecznym rachunku traci Polska owoce dawnych zwycięstw.

Moskwa Aleksieja Michajłowicza i jego następców staje się znowu groźną dla nas potęgą zaborczą, nie tylko nawraca do Iwanowego programu „zbierania ziem ruskich”, lecz wprost godzi w byt państwowy Polski. Myśl ta dominuje w całem stuleciu XVIII, znajdzie wyraz w dążeniach Piotra Wielkiego i Katarzyny II i ulegnie nowej koncepcyi rozbiorowej dopiero pod wpływem czynników zewnętrznych, od Moskwy niezależnych i planom jej nawet wprost przeciwnych.

Jednakowoż zarówno w dawnym programie uroszczeń moskiewskich do terytoryów litewsko-ruskich, jako też w następnej myśli zawładnięcia wszystką Polską, jedyną dźwignią były interesy polityczne. Chodziło poprostu o wrota czy do Bałtyku przez Inflanty, czy o szerokie przejście do środka i zachodu Europy przez Białoruś, Litwę i Polskę, czy o wywozowe porty czarnomorskie przez Ukrainę i Wołyń, oraz przybliżenie podstawy operacyjnej do działań, mających na celu upragnione zawładnięcie Konstantynopolem.

„Na zniszczenie bytu państwowego Polski składała się prawie cała polityczna historya Rosyi”—z cynizmem pisze w r. 1814 dyplomata rosyjski, Pozzo di Borgo, i zaraz dodaje: „Głównym celem podboju Polski było zapewnienie narodowi rosyjskiemu liczniejszych stosunków z resztą Europy i otworzenie mu obszerniejszego pola, a zarazem wznioślejszego i więcej znanego teatru, na którym mógłby spożytkować swe siły i swe talenta, czynić zadosyć swej dumie, swym namiętnościom i swym interesom” *).

Czynniki narodowo-religijne, z takim naciskiem podnoszone przez pisarzów rosyjskich o typie Iłowajskiego lub Kojałowicza, żadnej prawie nie odgrywały tu roli. Dla bojarów moskiewskich XVII-go w., czy dla petersburskich polityków XVIII-go wieku, rdzenni nawet Rusini na terenach W. Ks. Litewskiego uchodzili za Polaków. Nie dziwiło to nikogo, że członek petersburskiej Akademii Nauk i radca dworu carskiego, Benedykt Herman, w wydanej w roku 1790 statystyce Rosyi nazywał prawosławnych mieszkańców gubernii mohylowskiej i połockiej Polakami, ponieważ mówili tylko po polsku; lub że uczony przyrodnik, Wasyl Siewiergin, w urzędowym z roku 1803 raporcie z podróży swej na Litwę zaznaczał, iż mieszkańcy całej Białorusi, nie wyłączając włościan, używali między sobą języka polskiego, zaś prawosławni mieszkańcy Grodzieńszczyzny nie umieli ani słowa po rosyjsku. Wszakże nawet w Kijowie i gubernii kijowskiej, zdaniem Zawadowskiego, ministra oświaty z roku 1806, „język polski był więcej używany, aniżeli rosyjski”. Gubernatorowie dzielnicy pierwszopodziałowej musieli w stosunkach z ludnością miejscową używać tłómaczy, gdyż nikt po rosyjsku nie rozumiał.

Stosunki po kilkudziesięciu nawet latach ucisku niewielkiej jeszcze pod tym względem uległy zmianie, skoro na „przyzwyczajenie uważania się za Polaków” utyskuje w roku 1846 Szczukin, podróżnik rosyjski po Witebszczyźnie i Mohylowszczyźnie.

Istotnie lud, choć sprawosławiony, nie uważał się za rosyjski. Zatraciwszy przeważnie poczucie przynależności do Polski, nie posiadał wogóle uświadomienia narodowego, światlejsze zaś z pośród niego jednostki ciągnęły instynktownie do polskości. Co więcej, nawet prawosławne duchowieństwo na Białorusi zachowywało wśród siebie polskość siłą tradycyi. Językiem jego domowym, rodzinnym, towarzyskim, częstokroć językiem spowiedzi był język polski. Jeszcze w roku 1863 metropolita prawosławny, osławiony Siemaszko, stwierdzając w piśmie poufnem do konsystorza, że „duchowieństwo prawosławne w całej eparchii litewskiej przed laty trzydziestu mówiło tylko po polsku i zupełnie nie znało języka rosyjskiego”, kategorycznie zakazywał popom

*) Z równym cynizmem wzywali do zagłady polskości pseudo-liberałowie z epoki po r. 1863, np. głośny słowianofil i nacyonalista typu Katkowa, Iwan Aksakow, który otwarcie mówił, że „jest obowiązkiem moralnym, przykazaniem wiary, opowiadanej ludziom przez Chrystusa (!!), pracować nad wytępieniem narodu polskiego, przedstawiciela zgniłego łacinizmu... Nie mogąc wytępić Polaków, powinniśmy przynajmniej doprowadzić do tego, aby poddali się nam bez zastrzeżeń, aby bezwzględnie uznali zasady, któremi kieruje się polityka rosyjska, i mówili naszym językiem”.

używania w modlitwach, w cerkwi i w stosunkach rodzinnych mowy polskiej. Równocześnie szowinistyczna gazeta „Dień" ciskała gromy potępienia na duchowieństwo prawosławne, posługujące się polszczyzną tam, gdzie wprawdzie „była kiedyś Polska", a teraz jest Rosya—i domagała się od rządu poważnej ekspedycyi... wielkoruskich mamek i piastunek na Litwę celem radykalnego przy ich pomocy odpolszczenia tego kraju.

Podnoszono z największym naciskiem rosyjski charakter b. Wielkiego Księstwa, ale równocześnie szeroko i długo uzasadniano oczywistą potrzebę jego rusyfikacyi. Była to kontradykcya, ale nad nią przechodzono do porządku dziennego.

Pośredniem stwierdzeniem siły polskości na Litwie są najbardziej chyba pod tym względem miarodajne instrukcye poufne Katarzyny II dla pierwszych wielkorządców t. zw. „gubernii powróconych od Polski".

„Pragnę,—pisała imperatorowa — aby te dawne ziemie rosyjskie były rosyjskiemi nie tylko z nazwy, ale całą duszą i sercem... Należy przeto doprowadzić je wszelkimi środkami do tego, aby zostały zruszczone". Nadawano więc im pośpiesznie przynajmniej doraźny pokost rosyjski przy pomocy falangi urzędników i donataryuszy, oraz z niesłychanem stosowanego okrucieństwem t. zw. nawracania unitów na prawosławie, przy równoczesnem planowem podważaniu wpływów Kościoła katolickiego.

To dążenie do zatarcia polskości w prowincyach zagrabionych przybiera kształty potwornego, iście azyatyckiego wandalizmu. Wszak zaraz po rozbiorach zupełnie poważnie w otoczeniu carowej roztrząsano projekt kanclerza Bezborodki „zniszczenia ogniem" Wilna, jako miasta polskiego, o którem z czasem w trywialnej grze słów wyrazi się wnuk Katarzyny, Mikołaj I, że jest on „obrzydliwością" (*c'est une vilenie*).

Nie zdoławszy zawładnąć całą Polską, która w zamierzeniach imperatorowej, jak źrzały owoc, dojrzawszy w anarchii, winna była wszystka spaść do Rosyi, Katarzyna II zmuszona była zrezygnować narazie z wielkiej myśli „objedinienja", stanąć na zasadzie etnograficzno-militarnej i zgodzić się na kompromis podziałowy. Zarazem dla usprawiedliwienia rzekomych praw Rosyi do ziem litewsko-ruskich wystąpiła na sto lat niemal przed Murawiewem z koncepcyą „odwiecznej" rosyjskości tych terytoryów, „powracających" tylko obecnie do macierzy-Moskwy. Równocześnie w obawie przed możliwością wznowienia kiedykolwiek państwa polskiego przez pozostałych rozbiorców, zastrzegła się Katarzyna w osobnem tajnem poręczeniu przeciw takiej ewentualności, biorąc od Prus i Austryi formalne zobowiązanie, że „dla zatarcia wszelkiej o Polsce pamięci, po zaszłej już śmierci tego ciała politycznego, żaden z dworów w tytule swoim nie użyje nigdy zbiorowej nazwy Królestwa Polskiego, które odtąd na wieczne czasy zostaje zniesione".

W gruncie rzeczy jednak Rosya nigdy nie wyrzekła się swych początkowych dążności zaborczych. Występują one dobitnie w okresie napoleońskim, zwłaszcza po roku 1812. Tryumfujący wówczas nacyonalizm rosyjski plwał na „niewierną" Polskę, szczuł na nią cesarza, udaremniał każdy szlachetniejszy odruch monarszy. Jeśli o Księstwo Warszawskie mogły wyniknąć jakieś targi, to sprawa ziem litewsko-ruskich uważana była za z góry przesądzoną.

„Myśmy wzięli swoje"—głosił uczony reakcyonista Karamzin, wielbił zasługi rozbiorowe Katarzyny, domagał się przywrócenia jej metod postępowania. Do dziś dnia nie oceniono należycie całej owoczesnej, jawnej i utajonej kampanii przeciwko Polsce, przeciwko zbudowanemu na Kongresie Wiedeńskim Królestwu, przeciwko chwiejnej, na dwoje wróżącej myśli Aleksandra zjednoczenia z niem terytoryów litewsko-ruskich. W tej orgii nienawiści jednoczyły się wszystkie czynniki państwowe i społeczne od ultrareakcyjnych w rodzaju Karamzina i Rostopczyna, do pseudo-liberalnych w guście Sperańskiego i Nowosilcowa. Koła konserwatywne z Michałem Orłowem na czele, zachęcone przez Aleksandra do próby utworzenia tajnego Zakonu Rycerzy Krzyża Rosyjskiego, żądały wprost „bezwarunkowego i wieczystego zniszczenia imienia Polski i Królestwa Polskiego, oraz obrócenia całej Polski, zarówno pruskiej, jako też austryackiej na gubernie rosyjskie"; w najliberalniejszych zaś sferach „Sojuza Spasienja", wśród przyszłych Dekabrystów, powstał zamiar zgładzenia Aleksandra za to, że zamierzał odebrać gubernie litewskie od Cesarstwa i podarować je Królestwu. Nie zdawano sobie sprawy z tego, że sam cesarz ową koncepcyę jednoczącą uważał tylko za próbny manewr, mający zniewolić Polskę do ścisłej z Rosyą łączności, w myśl sformułowanej później przez W. Ks. Konstantego zasady, że „lepiej jest Polaków mieć przy sobie i z sobą dobrymi Polakami, niż złymi Rosyanami".

Te same cele, intencye i dążności występują znów wyraźnie w działaniach roku 1831-go, w okresie powstania styczniowego, wreszcie, *mutatis mutandis*, podczas obecnej, osiemnastej w dziejach, wojny polsko-rosyjskiej.

H. Mościcki.

WACŁAW DENHOFF CZARNOCKI:

POEZYE.

ODEJŚCIA.

Kiedy się w sadzie pełna bzowa kiść
Chyliła, kiedy szalały jaśminy,
Odchodziliśmy, marnotrawne syny,
Po to — by iść.

Zostawialiśmy niezamknięty dom,
Bez troski ludne mijaliśmy drogi.
Ohej! A dalej! poza wszystkie progi
Stawiane snom.

I dziś odchodzim z chrzęstem srebrnych blach,
W wieczystej naszej pochodów tęsknocie,
Jednak z kojącą myślą o powrocie
Pod cichy dach.

Ażeby wrócić...—nie, ażeby iść...
Po sadach pełne dojrzały owoce,
Coraz są krótsze nad sadami noce,
Usycha liść.

HOJNOŚĆ.

Rozgrodziłem wszystkie płoty graniczne,
Rozmieniłem wielkie skarby na drobne,
Rozdzieliłem moje śpichrze zasobne
Pomiędzy rzesze liczne.

Skarby skryli pod nawozem trzód chlewnych,
Orne pola zapuścili odłogiem,
Ziarna zaraz tuż zjadali za progiem,
Bojąc się dróg niepewnych.

Dziś ci sami, znów bezdomni i biedni,
Pełni przekleństw, wyrzekania i złości:
—Czemuż, panie, zmarnowałeś swe włości,
Nasz pewny chleb powszedni!...

ZŁOTE SERCE.

Senne trapiły mnie zmory;
Spałem nie wiem jak długo.
Zbudził mnie dzień — złotą smugą
Słońce się wdarło poprzez okienne zawory.

Szarzyzna nici pajęczej,
Zwiędłe kwiaty na stole,
Myśli zgasłe na czole
—Wszystko dziś żywe w słońca złocistej otęczy.

Złego nie czekam już końca,
Odkąd wróciła pieszczota
Jasnego serca ze złota,
Serca, co przyszło do mnie z poselstwem od słońca.

Myśl zapomniana gdzieś z kąta
Nagle szepnęła ukradkiem,
Że stolarz może przypadkiem
Serce tu wyciął zamiast zwykłego trójkąta.

Z CHWILI.



Jenerał Rozwadowski, obecny szef sztabu generalnego.



Jen. Weygand, szef sztabu generalnego marszałka Foch'a, członek misyi wojskowej Ententy.



Premier Wincenty Witos (z prawej strony) i jego zastępca, wiceprezydent Ignacy Daszyński.

AKADEMICY-OCHOTNICY W REMBERTOWIE.



Przy tualecie porannej.

Warsz. Aj. Fot.



Rejestracya.

Aj. fot. Maryana Fuksa.



Zbiórka.

Warsz. Aj. Fot.



Piłowanie drzewa dla kuchni obozowej.
Warsz. Aj. Fot.



Obieranie ziemniaków.
Aj. fot. Maryana Fuksa.

KOBIETY A WOJNA.

□□

I.

We wszystkich instytucyach państwowych i społecznych—kobiety, roi się od nich w biurach, magazynach i sklepach... to się rzuca w oczy, na to utyskują starzy (bo młodych prawie niema) antyfeminiści, przypisując to „niepożądane" zjawisko przedewszystkiem, jeśli nie wyłącznie, wojnie, zniknięciu z powierzchni ziemi tylu milionów mężczyzn, zajęciu kroci tysięcy na frontach. „A tymczasem korzystają żony, siostry i córki"—tak dowodzą antyfeminiści, w nadziei, że to się zmieni z czasem, kiedy „normalne stosunki" powrócą, i że wtedy będzie dobrze, bo kobiety pracują byle jak, a tymczasem w domu nieporządnie, bielizna, której coraz mniej, nie cerowana, ubranie również.

Czy istotnie tylko brakowi sił męskich zawdzięczają kobiety swoje miejsca na wszystkich placówkach? Czy niema w tem ich własnej zasługi, odpowiedniego przygotowania, uzdolnienia, oraz odpowiedniej pracy? Badacz stosunków, przed daniem odpowiedzi na te pytania, ma obowiązek zgłębić kwestyę i odpowiedzieć na nie sumiennie, zanim przedstawi sprawę publiczności. Rozpocząć trzeba „od pieca", t. j. od czasów dawnych, gdy kobieta zaczynała pracować bez odpowiedniego przygotowania, traktując swoje zajęcie jako chwilowe nieszczęście, karę za nieopatrzność rodziców, z której to kary miało ją wyzwolić wcześniej lub później małżeństwo. Albo też jako dodatek do dochodów rodzinnych, dających pracowniczce możność kupowania sobie rzeczy zbytkownych: perfum, pięknych rękawiczek, wytworniejszego obuwia, a nadto częstszego bywania w teatrze, w cukierniach, wogóle życia weselszego i swobodniejszego. Słowem praca była uważana nie jako cel, lecz jako środek do uprzyjemnienia sobie czasu, zanim przyjdzie wybawiciel-mąż. Rzecz prosta, że obowiązki traktowane w ten sposób były w zaniedbaniu. Że „odrabiało się" godziny tak, jak się przyjmuje niemiłe lekarstwo, że treścią życia była nie praca, lecz zabawa. To też słyszało się w domu od panien, zajętych w biurach i redakcyach, o rozmaitych epizodach, o kolegach i koleżankach, rzadko kiedy, prawie nigdy o samej treści, o rodzaju uprawianej pracy.

Przyczyniał się do tego w znacznej mierze brak odpowiednich kwalifikacyi. O zajęciu posady rozstrzygała protekcya, lub braki finansowe danej rodziny, nie zaś uzdolnienie jednostki, a wiadomo, że przywiązujemy się do tego najbardziej, co robimy dobrze, co potrafimy robić, traktujemy zaś pobieżnie wszelką fuszerkę, w której bierzemy udział.

Że musiała być „fuszerka", warunkował to brak odpowiednich zakładów fachowych. Przyczyniali się też do tego w znacznej mierze i koledzy mężczyźni. Nieprzyzwyczajeni do pracy kobiet, do obcowania z niemi poza salonem, byli zanadto grzeczni, gotowi raczej zastąpić, niż nauczyć koleżankę.

— Pannę Zofię boli dziś głowa.

— Panna Jadwiga nie jest w usposobieniu —szeptano sobie z ust do ust, starając się zwolnić z pracy zdenerwowaną koleżankę, lub niezdrową wyręczyć.

Było rzeczą niebywałą, aby pan Julian zastąpił pana Józefa, uwzględniając jego niezdrowie, było też niepraktykowane, aby pan Jan, przyszedłszy do biura, zastał kwiaty lub cukierki. Lecz trafiało się to pannom Józefom i Janinom, bo potrafiły się odwdzięczyć miłym uśmiechem, spojrzeniem, wesołą rozmową.

Były też biura, gdzie naczelnicy, ludzie starsi, „tetrycy" starali się wyplenić tę zbytnią galanteryę, stawiając na jednym stopniu kobiety i mężczyzn, każąc wynosić z pokoju, gdzie były ładne panny, zbyteczne krzesła, aby nie siadali na nich ci, którzy przychodzą nie do pracy, lecz na gawędy.

Tacy „pedanci" nie uwzględniali spóźnień kobiecych, spowodowanych balami, maskaradami, i tak jak do mężczyzn przemawiali do kobiet w sposób nieraz ostry, gromiąc ich nieobowiązkowość.

Wynikały stąd wybuchy płaczu; jeśli zaś szef i na to był nieczuły, w obronie „pokrzywdzonej" koleżanki występowali wszyscy koledzy, nie zważając bynajmniej na wykroczenia, lecz na zapłakane oczy, zwykle ładne i młode. Cóż więc dziwnego, że kobiety w pierwszych latach swej pracy nie wdrażały się do niej.

Działo się to dawno; dziś te pracowniczki są już albo babkami, albo nauczyły się pracować, gdy straciły wielbicieli i obrońców, już nie płaczą, bo wiedzą, że się to na nic nie zda, bo—oczy nie są już ani czarne, ani niebieskie, lecz wyblakłe w otoczeniu zmarszczek.

Stały się pracownicami dobremi, spełniającemi swe obowiązki, lecz straciły humor, ochotę do życia i, o ile mają do czynienia z publicznością, gorzkie, kwaśne, nieznośne, albowiem za młodu nie pracowały ze zrozumieniem rzeczy, lecz z buntem wewnętrznym, rezygnując co roku ze swoich przywilejów, ze swoich złudzeń, ze swoich nadziei.

A więc za młodu lekceważenie obowiązków, na starość—spełnianie ich z goryczą, ze złością. Sięgając głębiej, trzeba też przyznać, że te panny, pierwsze pracownice z przed lat trzydziestu, były bardzo źle wychowane.

Nie mówię: wychowane salonowo, gdyż potrafiły, tak jak dzisiejsze, a może nawet i znacznie lepiej, chodzić, tańczyć, prowadzić rozmowy o niczem, lecz mowa tu o wychowaniu moralnem, etycznem.

Matki z okresu pozytywizmu były zanadto trzeźwe, zbyt oddane myśli o korzyściach materyalnych. Tyle straciliśmy na obu powstaniach, że zaczęliśmy być rozsądnymi.

Matki-Spartanki mówiły do synów, podając im tarczę: „Wróć z nią, albo na niej". Matki z czasów powstania, mimo serc zbolałych, nie powstrzymywały synów od przekradania się do borów, przeciwnie, ułatwiały im ucieczkę, choć szanse zwycięstwa były prawie minimalne, a śmierć prawie pewna.

Tak pojmowały swój obowiązek wobec synów, córki zaś wdrażały do poczuć obywatelskich, starając się wytworzyć z nich zastęp nie zbrojnej, lecz silnej ostoi krajowej. Lecz *rozsądne* matki z czasów Apuchtina, wyprawiając co rano do szkoły lub uniwersytetów swoich synów, dawały im na drogę takie upomnienie:

— Proszę się nie wdawać w żadną awanturę polityczną, was to tylko narazi, a na nic się nie zda. Dość już mieliśmy porywania się z motyką na słońce.



Ta „motyka", to jest my, bezbronni, porywający się z gołemi rękami na Moskali i Niemców, przedstawiających dla nas „słońce", to jest siłę brutalną, to były najpopularniejsze argumenty prawie do wojny wszechświatowej. Na niej wychowały się dwa pokolenia, rozbawione, płytkie, nieodpowiednie zdawało się do wielkiej chwili dziejowej.

Młode panny, o ile to zwłaszcza dogadzało ich bezmyślności i zamiłowaniu do zabawy, rosły na istoty obojętne narodowo, o ile zaś były inteligentniejsze, na jednostki hołdujące postępowi, a więc w ich mniemaniu filosemityzmowi, bezreligijności i odrzucaniu wszelkich skrępowań.

Czytały z zamiłowaniem powieści przesiąknięte bezwzględnym erotyzmem, były między niemi „przybyszanki" potem „tołstojanki", „saninistki", potem nieudane „Ewy Pobratymskie", a zawsze samolubki, tem większe, że pozujące na ofiary stosunków społecznych i krajowych, istoty wpatrzone tylko w swoje „ja", mające współczucie tylko dla cierpień niezrozumiałych, litość wyłącznie dla przestępstw i przestępców, tak zwaną „pitié russe", która nie ogarnia bólów ludzi normalnych i uczciwych i przyczyniła się w znacznej mierze do bolszewizmu.

Nie dziw, że takie jednostki nie spełniały swoich obowiązków w rozmaitych instytucyach i biurach, nie umiały one bowiem myśleć o niczem innem, tylko o sobie, i kochać coś poza sobą, a i siebie kochały źle. Tak trwało przez lat szereg, do rewolucyi 1904/5 roku.

Gdy przyszła wojna, kobiety zrozumiały doniosłość chwili i wszelkiemi siłami starały się sprostać zrodzonym potrzebom, myśląc przedewszystkiem o obrońcy-żołnierzu.

Że w tej myśli i w powstałych z niej instytucyach było dużo samolubnych zamierzeń, celów postronnych, bawienia się w pielęgniarki, to nie ulega wątpliwości.

Lecz wśród powodzi sanitaryuszek, zgłaszających się w imię wrażeń, były jednostki myślące istotnie i bezinteresownie o żołnierzu, naprzód o polskim i rosyjskim, a potem, gdy na szczęście rosyjskiego nie stało, tylko o polskim.

Z tej to, tak zwanej komisyi sanitarnej, oczyszczonej z fermentów, powstał dzisiejszy Biały i Czerwony Krzyż.

Że te kilka lat wojny pogłębiły społeczeństwo, że zwróciły oczy ku celom wyższym, to nie ulega wątpliwości; lecz że nie stało się to w takiej mierze, jak być powinno, widzimy, niestety, na ulicach, w kawiarniach i towarzystwach. I tu także winne jest, niestety, pokolenie poprzednie, starsze, które nie dorosło do obecnych czasów. Matki zamiast mówić córkom, że są świadkami zmartwychwstającej Polski, budzących się nadziei, biadają nad niemi, że niema dostatecznej ilości zabaw publicznych, opowiadają im, że one, matki, żyły w epoce weselszej, bo były bale, bo wszystko kosztowało taniej, życie było łatwiejsze, gościnność większa, nie dodając wszelako, że to było panowanie Moskali, Hurkowej, Apuchtina. Warto chyba mniej tańczyć fox-trotta, mniej zajadać lodów i ciastek, a być obywatelką, nie zaś poddaną.

To, że nie panują ogólnie pojęcia właściwe, że nie mamy dosyć ludzi odpowiednich do danej chwili, to właśnie jest winą przeszłego pokolenia, wychowawców obecnego, przeważnie zaś—matek. Że nie wszystkie są na wysokości zadania, że nie potrafiły wychować dzieci w należnej dyscyplinie i w poczuciu obowiązków, tak samo matki inteligentne, jak i robotnice, świadczy o tem to, co się dzieje dokoła. Tak samo strajki, jak nieumiejętność zaradzenia sobie ze strajkującymi. Jaką rolę w tem wszystkiem odgrywają kobiety?

Eugenia Żmijewska.



Z furyą i zaciętością rzucili się bolszewicy na naszych żołnierzy... Rys. W. S.

BOHATERSKA SZARŻA.

Od naszego korespondenta wojennego.

oo

Miejsce postoju w lipcu.

Cisza zupełna panowała w powietrzu. Słońce dochodziło już w swej wędrówce zenitu południa, a jego jasna, złota tarcza robiła wrażenie wielkiej kuli ognistej, która przenika ciepłem swych promieni wszystko, co ją wokoło otacza, która ogarnia i kąpie w swym żarze cały ten cichy, spokojny krajobraz wsi białoruskiej... Upał, ten nieodłączny towarzysz szczęśliwych dni lipcowych, zagościł tu w całym blasku swego majestatu, pewny zaś swego potężnego słonecznego sprzymierzeńca, dokucza srodze biednym mieszkańcom tej cichej krainy.

Lecz nie upał bynajmniej jest powodem posępnej zadumy kmiecia, kiedy ociera trudem uznojone czoło, lecz nie upał bynajmniej wywołuje na jego oblicze głębokie brózdy zmarszczek,—on bowiem do tego przyzwyczajony, przyzwyczajony nawet, by spiekota słoneczna niszczyła plon całorocznej pracy, jest więc inna przyczyna tego smutku, który szarpie jego sponiewieraną istotę.

Bo oto żył sobie kmiotek cicho i spokojnie rok cały bez mała, orał i bronował szczęśliwy swe pole, bo oto myślał, że nieszczęścia wojny przewaliły się już bozpowrotnie nad jego domem, aż tu nagle widzi, że wszystko powraca, że zbliża się znowu nieuchwytne widmo wojny-niszczycielki...

Chłop czuje i rozumie dobrze tę ciszę, jaka w powietrzu panuje; i nie błogosławi jej, jak błogosławił po inne szczęśliwe lata—bo ma tę głęboką, straszną świadomość, że jest to cisza przed burzą...

* * *

Z pobliskiej drogi wznoszą się w górę tumany kurzu. Tumany te rosną coraz bardziej i przybierają postać długiej, daleko ciągnącej się chmury, która ginie hen na skraju czerniejącego w dali lasu. Z instynktownym strachem i lękiem przeczucia wybiegają mieszkańcy na ulice przed swoje domostwa. Co znaczy ta kurzawa? Kto jest jej sprawcą?

Niedługo trzeba było czekać na odpowiedź, bo wnet wynurzył się z obłoków kurzawy oddział maszerujących żołnierzy, za nim zaraz drugi, trzeci i tak bez końca zda się ukazała się mieszkańcom pokaźna siła paru batalionów.

Szybko przemaszerowali przez wieś i zaczęli się wspinać na otaczające ją wypukłem półkolem wzgórza. Tam zatrzymali się i, ująwszy za małe wojskowe łopatki, zaczęli się okopywać... Praca szła nadzwyczaj szybko i składnie; nie upłynęło pół godziny, a już prowizoryczne umocnienia były gotowe. Widocznie spodziewano się jakiegoś silniejszego natarcia ze strony wroga...

Tak też było w istocie. Nieprzyjaciel, dążąc za wszelką cenę do oskrzydlenia dywizyi, parł i atakował nasze skrzydła bardzo intensywnie. Główna droga odwrotowa była stale zagrożona... To też, skoro tylko obu maszerującym na skrzydle pułkom udało się oderwać na parę godzin od nieprzyjaciela, otrzymały natychmiastowy rozkaz zająć i umocnić wzgórza za wsią G., by tu powstrzymywać następnie przez czas dłuższy wszystkie, choćby najbardziej intensywne ataki wroga. Podobne i jeszcze bardziej odpowiedzialne zadanie mieli ułani 4-go pułku, którzy, znalazłszy się na lewem skrzydle obu wyżej wymienionych pułków, a na skrajnem skrzydle dywizyi, mieli stanowić ostateczną, najbardziej wysuniętą ochronę od oskrzydlenia.

* * *

Gotowano się do obrony. Dwa bataliony obsadziły wzgórza, reszta pozostała w lasku jako rezerwa. Czekano...

Nagle, na przeciwległych wzgórzach pokazały się małe, szare punkciki, które powoli, w miarę posuwania się naprzód, przybierały coraz to większe i wyraźniejsze kształty tak, że można je było rozróżnić już gołem okiem. Nie ulegało wątpliwości, że byli to bolszewicy. Prawdę tych słów potwierdzili w tejże samej chwili nasi patrolowcy, przynosząc ponadto pewne bliższe wiadomości o zbliżającym się wrogu. Nieprzyjaciel szedł w sile trzech pułków, ponadto ciągnęły za temi frontowemi kolumnami znaczne i bardzo silne rezerwy. Widocznie bolszewikom chodziło bardzo o zdobycie naszych pozycyi...

Tymczasem bolszewicy wchodzili już do wsi. Teraz zbliżał się moment najważniejszy. Należało przywitać krasnoarmiejców ogniem w chwili, kiedy wynurzą się ze wsi i będą usiłowali atakować nasze wzgórza. Moment taki nie dał na siebie długo czekać. Przeraźliwe, złowrogie „ura!", które odezwało się na całej linii bolszewickiej, zapowiadało atak... początek zapasów...

Ze wszystkich punktów wzgórza odezwał się szybki, nerwowy odgłos karabinów maszynowych, zawtórowały mu echem donośnem potężne salwy karabinów maszynowych i wnet rozpoczęła się ogólna piekielna muzyka, do której dołączyły się przerażające, jakby fałszywe zgrzyty strzelaniny bolszewickiej...

Bolszewicy nie ulękli się jednak naszego ognia. Idąc całą lawiną, parli wciąż naprzód, dosięgali już-już naszych pozycyi... Walka zmieniła momentalnie swój charakter. Zaprzestano strzałów, zaczęto morderczą walkę na bagnety, na noże...

Z furyą i zaciętością rzucili się bolszewicy na naszych żołnierzy. Ci wytrzymali bohatersko natarcie, ale wnet nadeszła druga linia bolszewicka, za nią trzecia i tak bez końca w miejsce padłych krasnoarmiejców wyrastały jak z pod ziemi nowe zastępy rozwścieczonych żołdaków... Trudno im sprostać — taka masa, taka niepowstrzymana lawina...

Załamało się nasze prawe skrzydło, lecz w tejże samej chwili wypadł z lasku porucznik D. na czele swego batalionu i, nie namyślając się ani chwili, rzucił się do kontrataku, porywając za sobą uciekający batalion. Skutek natarcia był straszny. Inicyatywa, którą, zdawało się, chwycili w swoje ręce bolszewicy, przeszła momentalnie w nasze ręce; bolszewicy, którym już udało się opanować nasze pozycye na skrzydle, uciekali teraz w panice i popłochu. Porucznik D. nie dał im ani chwili wytchnienia, lecz pędził przed sobą, byle dalej, byle prędzej...



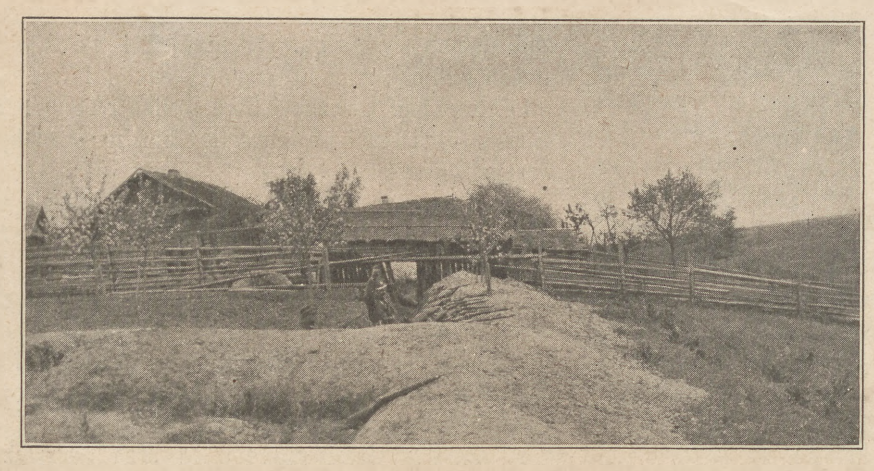
Rotmistrz Władysław Rozlau, dowódca 4 pułku ułanów, inicyator bohaterskiej szarży.

Tak więc groźny atak nieprzyjaciela został odparty na całej linii. Nie należało się jednak upajać zbytnio zwycięstwem, bo jasne było, iż bolszewicy nie dadzą za wygraną, lecz przeciwnie, zebrawszy nowe siły, będą próbować ataku powtórnego. Tak się też stało. Atak, który miał teraz nastąpić, był nierównie groźniejszy i silniejszy...

* * *

Ciszę wyczekiwana przerwał nagle silny odgłos eksplodującego granatu... Straszna, złowieszcza zapowiedź... Bolszewicy podciągnęli artyleryę! Jakoż nie poprzestali bolszewicy na tym jednym strzale, bo wnet odezwał się drugi, trzeci i tak powoli cała nasza linia znalazła się w artyleryjskim obstrzale. Widocznie bolszewicy, sparzywszy się raz na ataku piechotnym, usiłowali wykurzyć nas z pozycyi przy pomocy artyleryi. Przyznać trzeba, strzały były bardzo celne, piechota jednak nie ustępowała. Trzy bataliony stały jak mur w jednej linii, oczekując ataku wroga, który poprzedziła ta świetna introdukcya.

Bolszewicy zdawali sobie sprawę, że atak frontowy na nasze pozycye spełznie, jak poprzednio, na niczem, widząc zaś, że intensywne przygotowanie artyleryjskie nie odniosło również żadnego skutku, chwycili się swej zwykłej taktyki oskrzydlania. Co prawda mogli sobie pozwolić na



Spieszeni ułani na skrzydle piechoty.



Na postoju.

taką taktykę, rozporządzając potężną siłą 8 pułków. A przeciw niej stały zaledwie trzy bataliony w linii, dwa w rezerwie i parę ułańskich szwadronów na skrzydle... Garstka żołnierza, lecz dobrego, niezdemoralizowanego, świadomego grozy położenia i swego w takiej chwili obowiązku.

Bolszewicy byli ponadto w tem szczęśliwem położeniu, że mogli przygotować się i poczynić odpowiednie przegrupowania zupełnie niespostrzeżenie, pod osłoną lasu, który rozciągał się wokoło wsi i naszych pozycyi. Ten właśnie moment niedostrzegalności manewrów, a co za tem idzie niespodzianki w ataku wyzyskali bolszewicy z całą świadomością i bezwzględnością.

Nagle, ni stąd ni zowąd ukazali się bolszewicy w ogromnej liczbie na naszem lewem skrzydle i, korzystając z chwilowego zaskoczenia, runęli całą siłą z flanki na naszą piechotę. Równocześnie donośne „ura!" wzdłuż całej linii sygnalizowało złowieszczo, iż nieprzyjaciel podjął atak na całym froncie.

Momentalnie, widząc na co się zanosi, skierował dowódca brygady dwa nieczynne dotąd bataliony do akcyi na zagrożone skrzydła, nakazując równocześnie ułanom podjąć akcyę w swoim rejonie, by uratować w ten sposób nasze lewe skrzydło. Pięć batalionów stanęło teraz naprzeciw wroga—wszystkie znalazły się w wirze strasznej, morderczej walki. Sam szef sztabu brygady kierował osobiście akcyą na prawem skrzydle, dodając odwagi żołnierzom własnym przykładem. Wszyscy oficerowie znaleźli się na czele swoich oddziałów, wszyscy walczyli na równi z żołnierzami. Lecz wróg był zbyt przemożny, a chytrość jego manewrów była zbyt zgubna, by nasze bohaterskie wysiłki mogły jej nie ulec. Załamała się linia na lewem skrzydle, z konieczności, by nie zostać okrążonym, zwijano prawe skrzydło i środek... Zdawało się, że wróg będzie tryumfował, że lada chwila zada nam cios ostateczny... Sytuacya była naprawdę tragiczna... Znikąd ratunku... Grebionka okrążona... Pozycya stracona...

Lecz oto nagle w chwili najbardziej krytycznej przychodzi ratunek; w akcyi całej następuje gwałtowny zwrot. Z przepaści klęski na wyżyny zwycięstwa—dzieło kilku ułańskich szwadronów, czyn bezprzykładny, brawura niezwykła prawdziwie godnych piastunów sławy z pod Somo-Sierry. Tradycya naszej świetności kawaleryjskiej odżyła z siłą niepomierną w tym nowym blasku swojej chwały...

* * *

Rotmistrz R., otrzymawszy rozkaz ewentualnej ochrony lewego skrzydła piechoty, stał ukryty ze swym 4-ym pułkiem w lesie, pilnie śledząc przebieg akcyi. Odrazu w pierwszej chwili, kiedy tylko zachwiało się skrzydło naszej piechoty, pośpieszył rotmistrz z pomocą, spieszając jeden szwadron i nakazując mu zająć w stosunku do nieprzyjaciela flankowe stanowisko w tyralierze; w stosunku do naszej linii miał ten szwadron stanowić skośne jej przedłużenie. Bolszewicy atoli potrafili uniknąć niebezpieczeństwa tego manewru. Atakując z siłą niepowstrzymaną nasz skrzydłowy batalion i zasypując go gęstym gradem kul ze świetnie ustawionych karabinów maszynowych, zmusili w końcu naszych zuchów do ustąpienia i wycofania się, a w ten sposób został równocześnie oskrzydlony wysłany przez rotmistrza spieszony szwadron. Stało się to właśnie w tym samym momencie, kiedy pod silnym naporem wroga zaczął się na całej linii odwrót wszystkich naszych batalionów, kiedy szala zwycięstwa przechylała się stanowczo na stronę wroga, kiedy naszym nie pozostawało już nic, oprócz rozpacznej świadomości klęski i ratunku pojedyńczych ludzi na własną rękę.

W tym momencie krytycznym i tak pełnym swej nieuchronnej grozy świta nagle w głowie rotmistrza błyskawiczna myśl, myśl wielka i niesłychanie w swej śmiałości zuchwała, myśl godna tylko wielkiego Napoleona, kiedy słał na szlaki Somo-Sierry bohaterskie hufce Kozietulskiego.

Szarża konna!!!

Szwadron przeciw całemu pułkowi!!!

Atak konny na terenie leśnej poręby, pokrytej krzewami młodego lasu!! Atak z punktu widzenia technicznego wykonania niemożliwy!! Brawura bohaterska, na którą może się zdobyć tylko polski kawalerzysta!!!

Do dowódcy szwadronu technicznego podjeżdża szybko adjutant pułku:

— Z rozkazu rotmistrza poprowadzić natychmiast konny atak na nieprzyjaciela; jadę z tobą!

— Rozkaz!

Ostre, donośne słowa komendy.

Kilka słów krótkiej, żołnierskiej zachęty:

— Chłopcy! Krótkie życie! Niech żyje Polska!

— Wiwat!...

Złożyli lance, poprawili się w siodłach i popędzili...

Pędzą galopem, w konnym szyku, wprost na wroga. Mało ich...

Widzi to porucznik W., stojący dotychczas pod laskiem, zbiera szybko swój szwadron, dołącza plutony karabinów maszynowych i pędzi szlakiem swego poprzednika. Już go dogonił, pędzą teraz w jednej linii, już - już dopadają bolszewickiej kolumny...

— Jezus! Marya! Bij!! Rąb psubratów!!



Po szarży.

Jak piorun runęli ułani na kark nieprzyjaciół, jak wicher pędzili dalej po trupach bolszewickich, jak śmierci kosiarze siali wokoło mord i zniszczenie. Impet natarcia był straszny. Bolszewicy osłupieli wprost. Czegoś podobnego nie widzieli jeszcze nigdy. Ten czyn zuchwały małej garstki wydał się im czemś niesłychanem, czemś nadprzyrodzonem. Myśleli, że zduszą, że wchłoną w siebie tę garstkę szaleńców. Rzucili się zrazu do karabinów maszynowych, wzięli ułanów w krzyżowy ogień. Nie pomogło nic jednak. Ułani-czwartacy pędzili bez wytchnienia, a świst kul podwajał tylko szybkość koni, które pędziły wprost jak szalone, przeskakując potężne koszary jałowców. Nasi siekli i kłuli na prawo i lewo, nie oszczędzając nikogo. Bitwa zamieniła się w rzeź. Kto stawiał opór, ginął przeszyty lancą lub zarąbany szablą; kto mógł, ratował się ucieczką. Brawura ułańska święciła pełne tryumfy. Zabrzmiał potężny zew zwycięstwa, zew, który odbił się echem tysiąckrotnem wzdłuż całej linii. Bo szał odwagi ułańskiej podziałał jak iskra na inne sąsiednie oddziały, stał się poprostu silnym bodźcem i budzicielem osłabionego chwilowego ducha.

Momentalnie, nie bacząc na ryzyko i przeszkody, rzucili się wszyscy do kontrataku, rzucili się zaś z tak niezwykłą furyą i zaciętością, że nieprzyjaciel nie tylko, że dał wydrzeć ze swych rąk inicyatywę, ale zachwiał się na całej linii. Pokonany zda się oddział stał się w jednej chwili zwycięzcą. Zainicyowana tak chlubnie przez ułanów walka była naprawdę imponującym obrazem męstwa i brawury. Każdy żołnierz miał przed sobą kilku, ba kilkunastu nawet krasnoarmiejców, każda kompania walczyła co najmniej przeciw batalionowi. Walczono z wybitną przewagą, a jednak zwyciężano, bo żołnierzy ożywił nagle dawny zapał, zapał, jaki może powstać tylko w sercu i duszy polskiego żołnierza.

Bolszewicy ustępowali z zajętych chwilowo pozycyi, nasi nie ustawali w pościgu. Należało wroga zgnieść, odeprzeć, udaremnić nową próbę ataku na czas dłuższy. Zwycięstwo było na całej linii. Radość powszechna zapanowała w naszych szeregach, błogosławiona radość zwycięstwa, radość chlubnie spełnionego obowiązku żołnierza.

Lecz nie dzielą jakoś tej radości ułani, właściwi sprawcy zwycięstwa i bohaterowie dnia dzisiejszego. Przeciwnie, na twarzach dzielnych zuchów widać smutek głęboki; jacyś zgryzieni, przygnębieni chodzą wokół swych zmęczonych koni. Dlaczego? Cóż jest tego przyczyną? Przyczyna jest jasna i niezwykle w swej prostocie tragiczna. Bo oto dziś, w tym dniu bohaterskim, kiedy wracali po szarży z pola bitwy, utracili jednego z najlepszych swych przewodników, młodziutkiego porucznika Skuratowicza, który zginął, ugodzony zdradziecką kulą rannego żołnierza-komunisty. Strata dla pułku niepowetowana, bo zmarły był perłą w gronie oficerskiem, wśród żołnierzy zaś cieszył się niezwykłą miłością i przywiązaniem.

M. Z. Jedlicki.

SPŁAW DRZEWA I FLISACTWO NA WIŚLE.

oo

Hej flisacza dziatwo, hej dalejże, dalej...
Płyń do Gdańska z tratwą po [illegible]iącej fali.
Płyń ochoczo, wiaro, z bukiem, dębem, sosną
I z Wiselką szarą pieśnią gwarz radosną...

Po skończonej wojnie zapanują prawdopodobnie w górnym biegu Wisły dawne stosunki normalne. Ta część Polski ma w danej kwestyi znaczenie o tyle, że dostarcza ona większość materyału do wschodnio-pruskiego handlu drzewem. Kiedy rozpętają się burze zimowe nad Galicyą i brzegami górnego Bugu, w wielkich borach tych okolic rozlegną się znowu odgłosy siekier, walących na ziemię tamtejsze drzewa. Przeważnie rąbią sosny i jodły, które przeważają w owych borach, ale obok nich także i dęby, buki i inne drzewa liściaste, których również jest spora ilość.

Ścięte drzewa są częściowo obrabiane na miejscu, np. na podklady kolejowe, albo belki, ale częściowo także odstawiane do najbliższej rzeki. Na jej brzegu rozpoczyna się jeszcze w zimie zestawianie drzewa do spławu. Przedewszystkiem związuje się przecznicami dziesięć do dwudziestu pni, aby tworzyły płaską powierzchnię. Te pnie posuwane są naprzód małymi dopływami Wisły, jak tylko rozmarzną, aż będą mogły być łączone po kilka na rzekach większych, zbijanie zaś większych tratew drewnianych następuje dopiero parę mil od ujścia dopływu, albo też już na samej Wiśle. Taka tratwa składa się zatem z trzydziestu do pięćdziesięciu małych, ustawionych w cztery do siedmiu szeregów obok siebie, oraz osiem do dziesięciu za sobą, które trzymają się razem zapomocą grubych i mocnych lin lub drutu żelaznego. Średnio ma taka tratwa sto metrów długości oraz 20—30 szerokości.

Taka tratwa wiślana wygląda, jak przeżytek dawnej, zaginionej cywilizacyi; wydaje się, że pochodzi z czasów, kiedy wszelkie sztuki techniczne były w zarodku.

Niema nic osobliwszego, jak widok takiej powierzchownie związanej tratwy obok współczesnego, stalowego parowca. Tu szereg belek nieobrobionych albo okrągłych pni, które pozwalają się wodzie nieść powoli, tam statek szybko przerzynający fale z szumem, trzaskiem i sapaniem, podczas gdy na tratwie słyszymy tylko lekkie pluskanie wody o drzewo.

Niegdyś były tratwy na Wiśle najważniejszym środkiem przewozowym. Jeszcze przed laty trzydziestu wiele polskiej pszenicy spławiano w ten sposób do Niemiec. Potem przewoziły ją w dół rzeki łodzie i parowce, a tratwa nie miała do przewiezienia żadnego towaru, tylko siebie samą. Stała się równocześnie sama i przedmiotem i narzędziem przewozu.

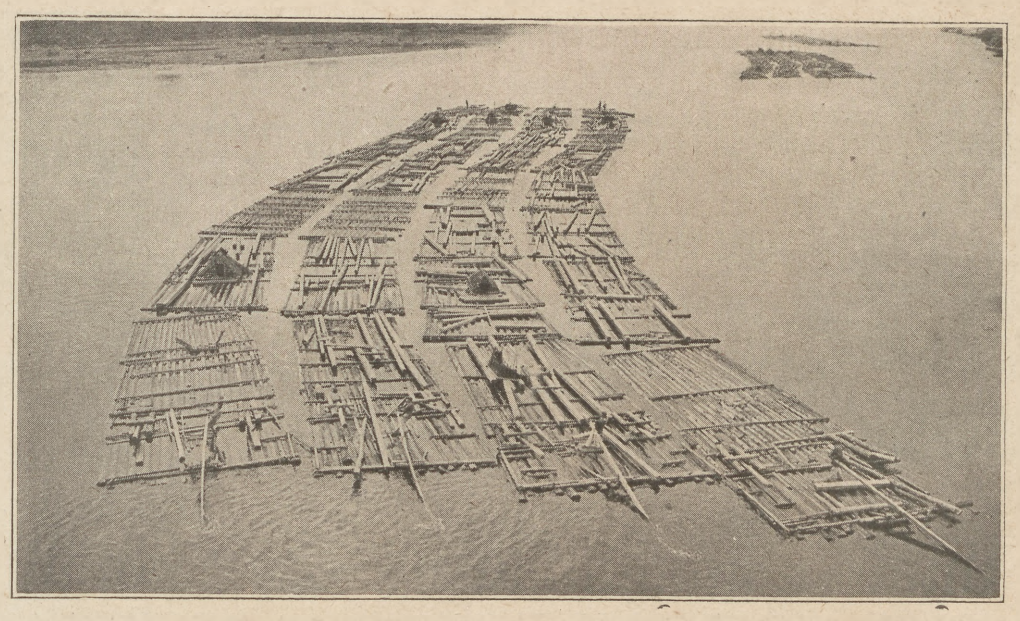
Kilka, przeważnie sześć, ale czasem także więcej tratw razem wziętych stanowią transport. Kierownictwo handlowe takiego transportu obejmują t. zw. „kasyerzy". Ci bez wyjątku polscy Żydzi w długich chałatach i grubych butach, w typowych czapkach, z pod których wychodzą pejsy, są osobistościami znanemi w miastach nadwiślańskich. Zadaniem kasyerów, jako przedstawicieli wielkich kupców, jest sprzedaż drzewa w przeznaczonych z góry miejscowościach.

Kierownictwo techniczne transportów drzewa należy do t. zw. „retmanów". Są to przeważnie ludzie starsi, doświadczeni, którzy z licznych podróży znają dobrze rzekę, jej ławice piaskowe, mosty oraz najlepsze miejsca do lądowania. Często jedzie taki retman na małej łódeczce przed pierwszą tratwą swego transportu, mierzy głębinę i bada prąd, poczem wydaje swoje polecenia, komunikowane sobie następnie wzajemnie przez flisaków długimi okrzykami.

Retman wymaga od wszystkich flisaków bezwzględnego posłuszeństwa i posiada nad nimi władzę dyscyplinarną, karząc często przekroczenia chłostą.

Pewną ilość kijów znoszą flisacy, przeważnie Polacy lub Rusini z Galicyi, ze spokojem zupełnym.

Każda tratwa, należąca do transportu, ma ze



Tratwa na Wiśle z nakładem belek dębowych.



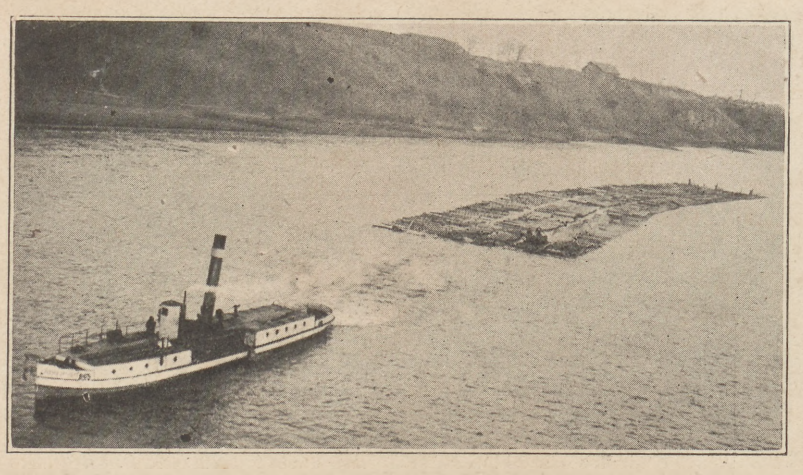
Typy flisaków na tratwie.



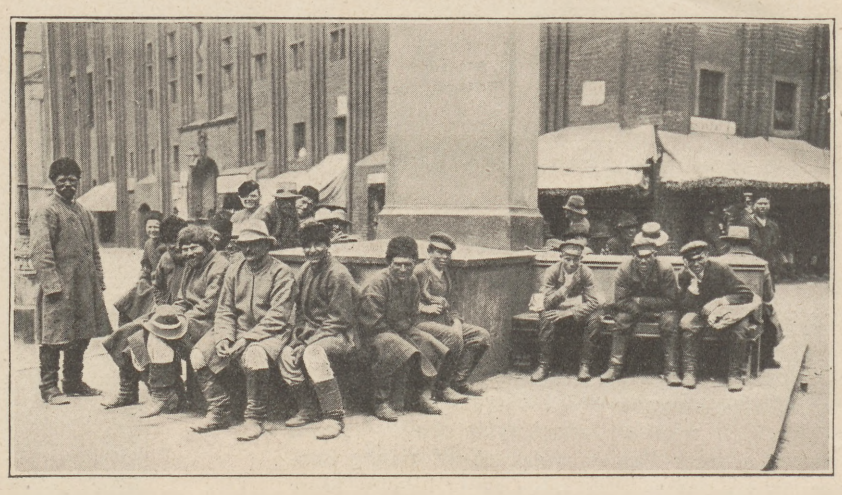
Tratwa w pełnym biegu z flisakami wiosłującymi.



Tratwy w Toruniu, oczekujące wymiaru i opłaty cła.



Holowanie tratwy.



Flisacy pod pomnikiem Kopernika w Toruniu.

swej strony przewodnika, który wydaje rozkazy flisakom wedle wskazówek retmana. Załoga tratwy składa się z ośmiu do dziesięciu ludzi, którzy podczas jazdy mają swoje posterunki częściowo na przedzie, częściowo zaś na tyle tratwy. Na każdym końcu znajdują się mianowicie olbrzymie stery, długości całego drzewa, obsługiwane przez flisaków. Stery te nie mają jednak na celu ruchu tratwy, lecz wyłącznie kierowanie tratwą, aby uniknąć ławic piaskowych i innych przeszkód, jak również poprzecznych wahań, zależnych od prądu. Kierowanie temi olbrzymiemi sterami nie jest łekkie, bywa jednak wykonywane przez flisaków z wielką wytrzymałością.

Największem niebezpieczeństwem zagrażają tratwom wiślanym nagłe przybory wody. Wtedy prąd pcha je w dół rzeki z olbrzymią szybkością, o ile przedtem nie uda się ich umieścić w zabezpieczonych miejscach brzegów; trzeba też zwracać najbaczniejszą uwagę i używać wszystkich sił, aby zapobiec rozbiciu tratwy. W takich warunkach trudno umocować tratwy na noc, co odbywa się w ten sposób, że prostopadle do tratwy, na wskroś przez nią wbijają w dno rzeki mocne belki, które widać na jednym z obrazków, jako pełniące obowiązki kotwic.

Przy małej wodzie osiadają często tratwy na mieliznach i nieraz dość długo trzeba czekać, zanim się je zepchnie. Ale przy sprzyjających warunkach atmosferycznych i przy pomyślnej wodzie ta jazda w dół rzeki nie jest uciążliwa, a praca flisaków jest dość lekka. Jedna podróż w dół rzeki trwa miesiąc do trzech, w szczególnych więc warunkach może flisak zrobić cztery do pięciu podróży w ciągu lata. Tylko transporty, które idą z dalszego wschodu, potrzebują więcej czasu; jeżeli zły stan wody zmusza je do dłuższych przystanków w dopływach Wisły, zdarza się, że w ciągu jednego lata nie dotrą do miejsca swego przeznaczenia.

Kierownicy tratew muszą stosować także wielką uwagę przy przechodzeniu pod mostami w Toruniu, Fordonie, Grudziądzu, Kwidzyniu i Tczewie, Ponieważ odstępy między każdymi dwoma słupami mostowymi wynoszą niecałe sto metrów, nie jest łatwo przeprowadzić przez nie zręcznie tratwy tej samej długości. Często zdarzają się wypadki, że tratwy przyciśnięte do słupa rozbijają się na części.

Na każdej tratwie widzimy niskie chatki, kryte słomą. Są to mieszkania flisaków i służą tylko do spania. Każda chatka służy dla dwóch ludzi, a całe umeblowanie składa się z łoża napełnionego słomą; tylko retman ma osobną chatkę dla siebie, a kasyer posiada drewniany domek na jednej z tratew transportu, t. z. „skarbonkę". Według pojęcia flisaków uważany jest ten domek za szczyt komfortu, faktycznie jednak jest urządzony w najwyższym stopniu ubogo, nie posiada bowiem żadnych mebli prócz łóżka, stołka, kuchenki oraz imbryka do herbaty. Flisacy gotują swoją skromną strawę na wspólnym piecyku glinianym w garnkach bardzo prymitywnych.

Na każdej chatce każdej tratwy jest przyczepiona tablica z wyszczególnieniem nazwiska właściciela oraz kierownika transportu.

Dawniej w Toruniu podlegało drzewo ocleniu i w tym celu było mierzone; zmuszało to flisaków i transporty do dłuższego pobytu. Czasem zbierają się tam koło mostu kolejowego bardzo liczne transporty; wtedy obserwujemy na ulicach Torunia gromadki wielu flisaków. Ich punktem zbornym jest stary rynek z pomnikiem Kopernika, którego stopnie stanowią ich ulubione miejsce wypoczynku; widać ich tam zwykle wygrzewających się na słońcu i często nawet spożywających swój skromny posiłek. Składa się on przeważnie z kawałka chleba i śledzia, zakropionych dobrym łykiem kropli Hoffmana.

Często przeciągają flisacy przez ulice Torunia, podziwiając wystawy sklepowe, a zanim wejdą do sklepu, odbywają przed drzwiami ożywione narady. Ich wymagania obracają się przeważnie około papierosów, tytoniu oraz ulubionych krótkich fajeczek. Te przedmioty znajdują także w budach jarmarcznych na rynku, gdzie panuje ruch ożywiony, jak to widać na jednym z obrazków.

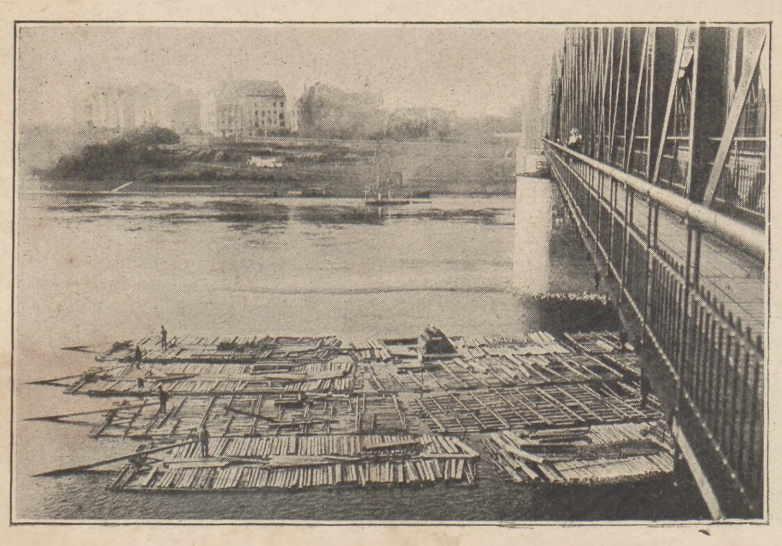
Składy instrumentów muzycznych znajdują także wśród flisaków licznych kundmanów. Jeżeli który z nich uprawia kunszt muzyczny, pierwsze oszczędności wydaje na kupno harmonii albo skrzypiec. Zakup instrumentu poprzedza gruntowne wypróbowanie, a duszę flisaka przepełnia głęboka radość, kiedy odchodzi z przedmiotem swoich marzeń. A wieczorem, skoro obok budek zapłoną ognie, przy których gotuje się skromna wieczerza—zwykle kartofle, wtedy wyciąga swój instrument i rozlegają się po wodzie wśród nocy tęskne lub skoczne melodye rodzime. A kiedy zabrzmi nuta mazura lub oberka, nieraz flisacy puszczają się w tany, odznaczając się dużą sprawnością.

Wynagrodzenie flisaków jest bardzo umiarkowane. Przed wojną dostawał flisak 80 f. do 1 marki, kierownik tratwy półtorej marki i retman 3 marki dziennie na pożywienie, o ile nie dostawali go w naturze. Za całą podróż dostawał flisak 12—15, kierownik 18—20, retman 100—250 marek. Mimo tak szczupłe dochody przy skromnych potrzebach życiowych potrafili flisacy powracać na jesieni do domu z 30—50 markami czystego zysku.

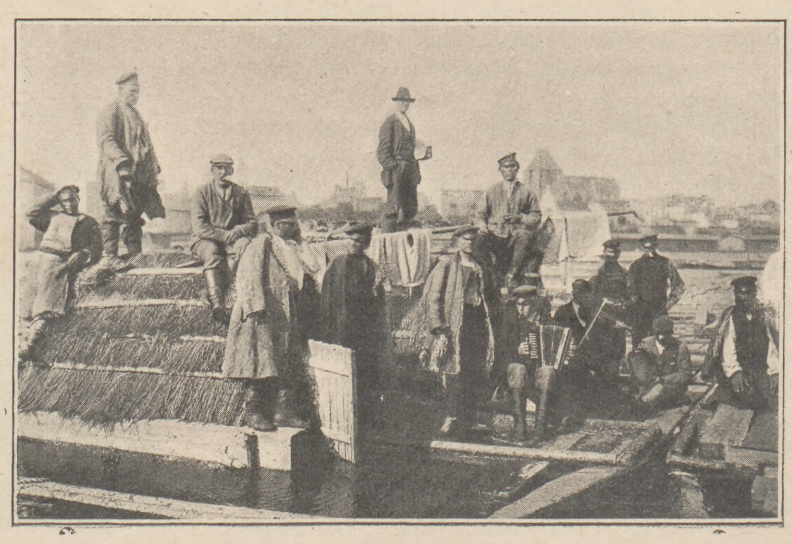
Przed wojną wwóz drzewa Wisłą był znaczny, chociaż zmniejszył się w ostatnich latach. Przez punkt graniczny przechodziło przeszło 3,000, potem 2,000 tratew, a wartość wwozu wynosiła więcej niż 20 milionów marek. Około trzech piątych składało się z nieobrobionych bali sosnowych, piątą część stanowiły inne drzewa iglaste i piątą część wreszcie dęby i inne drzewa liściaste. Wiele drzewa pochodziło z jańsborskiej równiny w Prusach Wschodnich, które przez dopływy Narwi i Bugu docierały do Wisły.

Część tego drzewa pozostawała do obróbki w Toruniu, albo do wysyłki dalej koleją. Na jesieni widać tam ogromne składy drzewa, przy którem znajdują dobrze płatne zajęcie liczni robotnicy i liczne furmanki; przerywa je czasem zbyt wczesne zamarzanie Wisły. Część tratew idzie dalej wprost do Gdańska, a największa przez kanał do Bydgoszczy i dalej do Niemiec.

H. Chill.



Przeprowadzanie tratwy pod mostem.



W czasie wypoczynku na tratwie.



STARA OBERŻA ZWIĄZKU CECHÓW TORUŃSKICH M. TRZEBIŃSKI

MARYA SOBAŃSKA:

ZWYCIĘŻYŁA.

10)

Hański czytał uważnie list, siedząc we framudze otwartego okna, i pozostał potem przez długą chwilę, wpatrzony w płonącą złotem stronę nieba. Hanna pisała coś przy biurku, lecz raz wraz podnosiła głowę w oczekiwaniu, co powie. Wreszcie przemówił:

— Wiedziałem, że oni z twojego polecenia zajęli się pośrednio moją sprawą, ale nie słyszałem nic o ich szerszej akcyi ratowniczej dla polskich jeńców. Prawda, że tamtejsze przestrzenie nie sprzyjają rozchodzeniu się wiadomości.

— Według mnie, to jedyni [illegible] Polaków na Syberyi, którzy odrazu s[illegible] nor[illegible] brali się do zorganizowania [illegible] naszym jeńcom. Ona wprost [illegible] stwarzając dla nich przytułek, s[illegible] nię, wspólną kuchnię, warsztaty in[illegible] skie, gdzie, prócz niższej służby kolejowej, niema nikogo z Polaków.

— Optymizm w wysiłku, to prawie zawsze zapewnione powodzenie! Ja to znam—a raczej znałem.

Umilkł i dodał po namyśle:

— Po moim wyjeździe powinnabyś pojechać do nich i zostać z tą kobietą do końca wojny. Zajęcia ci nie zbraknie. Pomożesz jej i wielu, a uratujesz zapas energii, tak bardzo potrzebnej na później. Tu zedrzesz nerwy na nic.

— Były wiadomości od mecenasa?—spytała głosem, którego każdy dźwięk sprawiał jej ból nieznany.

— Nie, nie było—odparł z roztargnieniem Hański.—Mówię to pod wrażeniem osobistego doświadczenia. Atmosfera tego miasta, na dłuższą metę, musi zabić w każdym nerw życia. Może to twój wpływ, ale i ja zaczynam mieć przywidzenia—dorzucił, patrząc na nią z uśmiechem.

— Jakie?—udawała, że kreśli coś ołówkiem, sama nie wiedząc, czemu nie może podnieść na niego oczu, choć wie, że patrzy na nią i że się uśmiecha.

Jął przechadzać się po pokoju.

— Czasem mi się wydaje, że to miasto zawdzięcza swój bezduszny marazm wyziewom bagna, na którem stoi. Takich samowolnych gestów nie wolno robić w historyi, jak ten, który spowodował przeniesienie starej stolicy na te trzęsawiska. Piotr Wielki przerwał brutalnie historyczną tradycyę Rosyi, zakładając nowe centrum państwa, bez innej ku temu przyczyny, jak kaprys samowładcy. Od tej pory wszystko w tym kraju działo się rewolucyjnie, z góry! Wola despoty, rozbita na samowolę tysięcy kacyków biurokracyi, narzuciła nowy porządek państwowy, obcy duchowi narodu... Zignorowali świadomie naród i przyrodzone drogi jego rozwoju.

Zatrzymał się, a za chwilę kończył powoli:

— Nic się tak nie mści, jak nieuznawanie praw ewolucyi. Każda anomalia przez to, że się uchyla od jej prawa, musi się mścić. Ja przewiduję nieobliczalne możliwości przewrotów w tej ojczyźnie wszystkich sprzeczności. Przewrót w Rosyi przejdzie wszelkie prawdopodobieństwa, zobaczysz! Ten potwór musi się rozpaść w bezprzykładnym rozkładzie...

Hanna milczała. Stanął za nią. Głowę miała spuszczoną, kreśląc w dalszym ciągu odruchowe znaki na okładce książki. Sądził, że rozmyśla nad jego słowami, ale ona ani jednego z nich nie słyszała.

— Chodźmy na obiad—powiedział.

— Chodźmy—odrzekła bezmyślnie, jak echo.

* * *

Kilka dni potem Hanna spotkała na swoim korytarzu śpieszącego mecenasa.

— Pani wychodzi?

— Nic pilnego, wróce z panem z [illegible] jemnością.

Miała przy [illegible] t w jej salon[illegible]

Mecenas zr[illegible] kroków po [illegible]koju, zacier[illegible]

— [illegible]obiśmy nareszcie do przystani.

— No?

— Hański otrzymał pozwolenie jechania do żony!... Wie pani, pomyliłem się... Aa! —(z podziwem)—to jest jednak człowiek ogromnie przywiązany do swojej rodziny. Rzadko widziałem taki blask rodości bijący od ludzkiej twarzy, jak u niego, kiedym mu wręczył urzędowe „razreszenie". Słowa nie wymówił, ale rękę tak mi ścisnął bezwiednie, na podziękowanie, że dotąd czuję w niej każdą kość.

— Widzi pan—powiedziała, stojąc dotąd na środku pokoju, z twarzą w cieniu, ze spuszczoną woalką.

— Widzę, widzę... Zwyczajna pomyłka samotnika!... Zapomniałem, czem bywa siła przyzwyczajenia w uczuciu, zżycie się! I o tej najpotężniejszej spójni zapomniałem: o dzieciach!

— Ta a k... Tembardziej, że mecenas nigdy nie widział pana Hańskiego w rodzinie... Ja zresztą też nie.

Mówiąc to, przeszła do sąsiedniego pokoju, gdzie pozostała dosyć długo.

Gdy powróciła, bez kapelusza i woalki, mecenas zauważył ze smutkiem, że odkąd jej nie widział, to jest od niespełna paru tygodni, zmieniła się bardzo. Coś w jej rysach twarzy zmartwiało, fioletowe oczy przygasły, i nawet włosy straciły swój „ciepły ton dojrzałej pszenicy", jak się raz o nich wyraził Hański.

— Przemęczyła się—pomyślał i, w związku z tą milczącą uwagą, spytał, siadając za jej przykładem:

— Gdzie pani zamierza wyjechać latem dla wypoczynku?

— Ja?—jakby ją swem zapytaniem przebudził ze snu.—Ja?—powtórzyła—naprawdę nic nie wiem. Czy to warto?—dodała, uśmiechając się jakimś obcym, nie swoim uśmiechem.—Gdziekolwiek pojadę, nie ucieknę ani przed sobą, ani przed wojną, a to jedno byłoby wypoczynkiem.

— Pani jest przemęczona.

— Może...

— Ale ze zdrowiem czuje się pani dobrze?

— Zwykle tak—dziś tylko bardzo mnie głowa boli... Dlatego tak głupio wyglądam!—dorzuciła z tym samym obcym uśmiechem.

— Nie będę pani męczył dłużej. Wpadłem jedynie, żeby się podzielić dobrą nowiną. Gdyby nie pani, Hański siedziałby dotąd w Tomsku.

— Gyby nie pan.

— Pani zmobilizowała nas wszystkich w jego sprawie.

— To tak dawno... Już nie pamiętam.

— Bo panią głowa boli. Nic tak na to nie pomaga jak spokój. Radzę zamknąć drzwi i przez parę godzin nie widzieć nikogo.

— Zrobię to. — I znowu ten sam obcy uśmiech przy pożegnaniu.

Mecenas za drzwiami myślał z niepokojem:

— To nie zwykły ból głowy! Byle się [illegible]e zaniosło na cięższą chorobę. Trzeba się [illegible]będzie jutro dowiedzieć.

Klucz zgrzytnął dwa razy w zamku. Zamykano drzwi z wewnątrz na dwa spusty. Zwykle mało wrażliwy, mecenas poczuł z dziwną świadomością w tych krótkich szybkich dźwiękach gorączkową wolę odgrodzenia się od reszty świata.

IV.

ZAKON DUSZY.

Ile to już podobnych nocy! Zrazu zapada w twardy sen, wyczerpana do upadłego po całodziennem zmaganiu się z niemą udręką. Wtem targnie nią, podrzuci i następuje bolesne przebudzenie. Każdy nerw, każde najdrobniejsze włókienko nerwów drga i boli. Oczy szeroko rozwarte, wpatrzone w ciemność, zdają się rosnąć rozszerzone bezsennością. I zawsze ten sam obraz.

Widzi siebie, jak stoi na peronie dworca i robi ostatni ruch dłonią na pożegnanie.

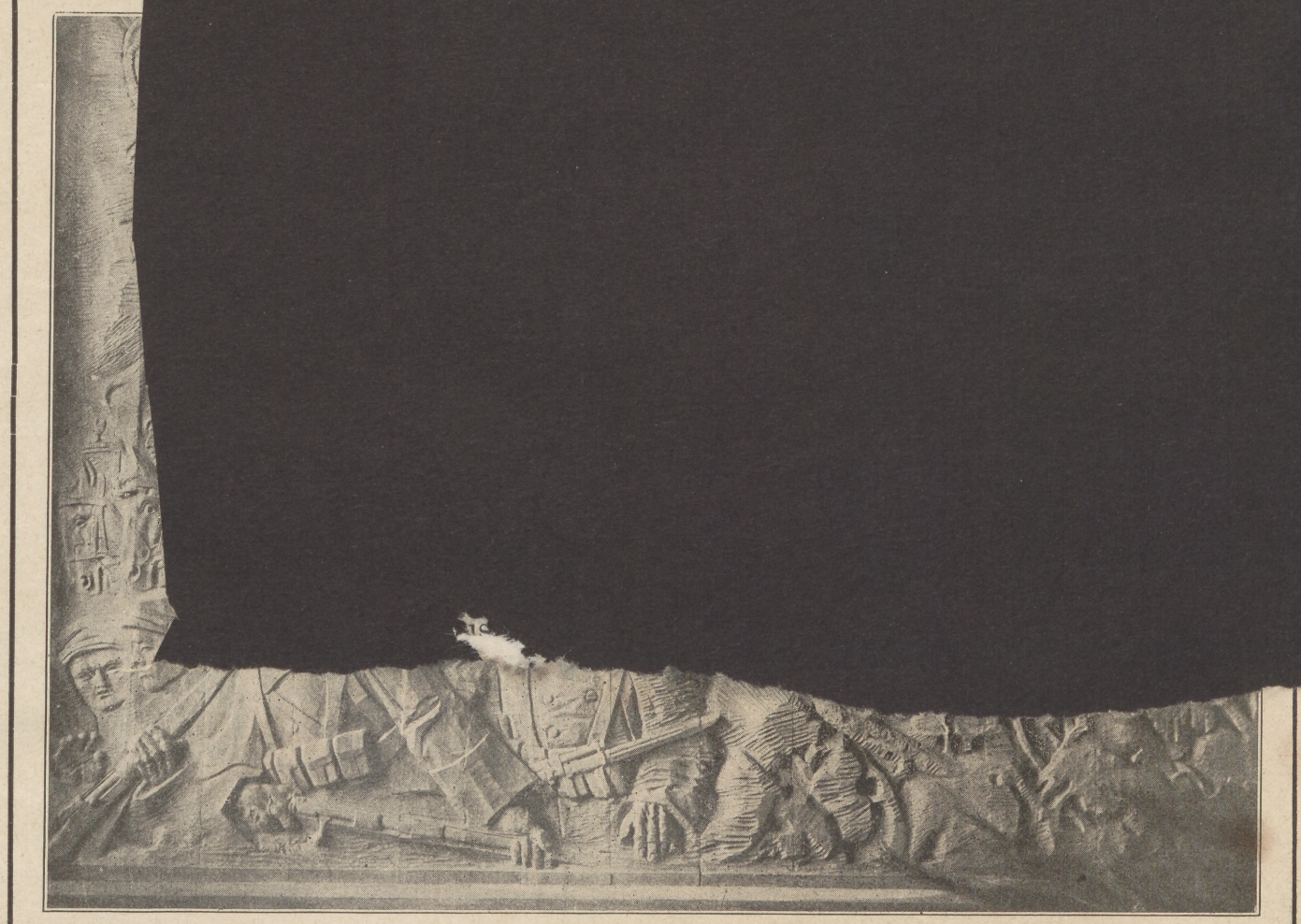
Pociąg rusza z miejsca, i wielka szyba, a za nią twarz Hańskiego oddala się powoli. Jeszcze chwila... Patrzy na nią dwoje wdzięcznych, wzruszonych oczu... A potem... potem już nic: dnie tępej, bezdusznej pracy i długie białe noce bezsenne.

I dziś już dnieje w pokoju, pomimo ciężkiej, zapuszczonej na okno kotary.

...Uporczywie, za wielką szybą przedziału, żegna ją dwoje oczu długiem smutnem spojrzeniem... Nie może ich zapomnieć. Męczą ją i drażnią. Czemu w nich tyle wzruszenia, bo przecież wie od mecenasa, jak bardzo się ucieszył na wiadomość, że nareszcie może wrócić do swoich. Ale ona i bez mecenasa wiedziała!

...Wiedziała od dnia, gdy jej spokojnie powiedział: „Po moim wyjeździe powinnabyś pojechać do nich"... „Po moim wyjeździe" było wymówione tonem stwierdzającym fakt najprostszy, całkiem obojętny... Wtedy nastąpiło przebudzenie: zrozumiała, że dba o niego, jak o nikogo drugiego na świecie, że ze wszystkich ludzi on jest jej najbliższym człowiekiem... ale że to nie ma nic do rzeczy, bo życie musi przejść nad tem do porządku dziennego...

(DCN)



Monumentalna płaskorzeźba podporucznika Juszczyka, upamiętniająca historyczne przebicie się II-giej brygady Legionów polskich przez pozycye austryackie pod Rarańczą pod wodzą jenerała Hallera.

Z Wystawy T. Z. S. P.

A JAK POSZEDŁ STACH NA BOJE...

▽△

Ilekroć patrzę na wymaszerowujące z Warszawy na front oddziały wojskowe i obserwuję zachowanie się ulicy, mimowoli, jak mucha natrętna, brzęczy mi w uszach zwrotka „Stacha" Konopnickiej:

...A jak poszedł Stach na boje,
zaszumiały jasne zdroje,
zaszumiało kłosów pole
na tęsknotę, na niedolę...

Idzie żołnierz na front. Idzie na walkę, o której wie, że będzie bardzo ciężka. Idzie na znój i trud.

W takiej chwili każde serce ludzkie, zwłaszcza serce młodego chłopaka, spragnione jest atmosfery ciepła, serdeczności i entuzyazmu. W takiej chwili żołnierz potrzebuje muzyki i okrzyków, kwiatów i uścisków, aby nie czuł się osamotnionym, aby wiedział, że naród cały za nim stoi. W takiej chwili starcy winni go błogosławić, mężowie i niewiasty darzyć, czem kto może, dziewczęta nie szczędzić uśmiechów i całusów.

Wszak dla tylu, tylu z tych żołnierzy te uśmiechy będą uśmiechem pożegnalnym Ojczyzny, a po uściskach tych i całusach niejednego jeno wróg uściśnie...

W takiej chwili każda dłoń, choćby nieznana, dająca żołnierzowi uścisk bratni, lub wtykająca mu w kieszeń papierosa czy łakocie, każde błogosławieństwo, każdy uśmiech lub całus przesłany przez dziewczynę, to wiatyk na drogę daleką.

Pod jednym tylko warunkiem.

W ten nastrój pożegnania niech się nie wkrada nuta żalu i roztkliwienia, słabości i mazgajstwa, nuta marsza pogrzebowego. Pożegnanie musi być huczne i wesołe, jak oberek krakowski, grzmiące, jak marsz tryumfalny. Nastrój ulicy, żegnającej żołnierza, udzielający mu się jak nic bardziej, musi być nastrojem wesela i pędzącej Sławy. Bo pewność zwycięstwa to—zwycięstwo!

Tak każdy wielki naród, tak każde miasto francuskie czy angielskie żegnało swoich żołnierzy, odchodzących na front.

Tak dziewczyna francuska, nieśmiertelna już dziś ***Madelon***, żegnała swego ***poilu***, kładąc mu do tornistra zwycięstwo, z uśmiechem, który dla niego był i pozostał uśmiechem Francyi.

A cóż się dzieje w Warszawie? Popatrzcie tylko na ulice, kiedy przeciąga niemi jakiś oddział wojskowy, udający się na front. Tu i owdzie zalśni łza w oku starca, tu i owdzie dziewczę podejdzie nieśmiało do żołnierza i wręczy mu kwiatek. Ale ulica milczy. Przechodnie śpieszą do swych zajęć i przyjemności. Ani się który zatrzyma, ani się obejrzy, ani zastanowi nad tem, gdzie i po co ten żołnierz idzie.

A przecież idzie on na wojnę, od której dziś już zależy nie kwestya naszych granic i wpływów, ale samo istnienie Rzeczypospolitej.

A przecież idzie on po to, abyś ty, dobrze odkarmiony i beztroski panie, mógł spokojnie gonić za swymi interesami i przyjemnościami; abyś ty, piękna i strojna pani, laleczko urocza, mogła spokojnie obnosić po ulicach stolicy stroje swe i wdzięki, czyniąc jej reklamę drugiego Paryża; abyście mogli błogo trawić czas, którego macie tak wiele, po kinach i teatrach, po kawiarniach i restauracyach; abyście mogli „jeździć na gumach w Aleje" i słuchać o tem piosenek w kabaretach. Abyście żyli... estetycznie. Abyście nie gnili... nieestetycznie po lochach czrezwyczajek.



Nad tem zastanówcie się przez chwilę, gdy ulicami Warszawy żołnierz nasz na front odchodzi i rozgląda się dokoła, szuka czegoś i czeka na coś, czego mu brak, a co z ulicy doń nie idzie.

Jeżeli nie stać was na entuzyazm wielkiego narodu, nie szczędźcie mu choć krótkiego i taniego entuzyazmu ulicy; grajcie choć entuzyazm, jeżeli go w duszach nie macie, wszakże zmysłu teatralnego w nas wiele!

Ten prosty, serdeczny chłopak uwierzy wam! Entuzyazm wasz weźmie za dobrą monetę i rozkołysze mu on duszę, rozelśni mu wzrok zapałem.

I, wchłonąwszy w siebie to „pożegnanie Ojczyzny", pójdzie w bój, po dawnemu, z dyabelskim animuszem.

Za was, eleganccy panowie!

I za was, piękne panie!

I za ciebie, szary tłumie uliczny, grobowo milczący, obojętny i bezmyślny! I legnie ochoczo na progu Rzeczypospolitej. I potknie się o niego wróg, zanim próg ten przekroczy.

Biada, jeżeli w chwili takiej, w obliczu walki na śmierć i życie, żołnierz kroczy przez grobowo milczące ulice, nie rozgrzany miłością, nie rozkołysany entuzyazmem; jeżeli czuje, że jest tułaczem we własnej Ojczyźnie, obcym własnemu narodowi, że jest, jak ów Stach Konopnickiej...

r.



Z obozu jeńców. Jeńcy bolszewiccy godziny wolne od pracy spędzają na ćwiczeniach gimnastycznych na otwartem powietrzu. Warsz. Aj. Fot.

Czy słyszysz?!
Leje się krew na Śląsku naszym!
Czy słyszysz?!

Szyderczo drwi z nas tłuszcza czeska na Cieszyńskim Śląsku i rzuca się rozbestwiony żołdak Heimatschutzu i Reichswehru na Górnym Śląsku!

Nie wolno ci być obojętnym, gdy wróg na braci twych się rzuca, nie wolno ci się dziś zasłaniać wołaniem: „tu głodno, tu drogo". Pamiętaj! Tam, gdzie plebiscyt ma się odbyć, bój idzie srogi o to, czy potężną będzie Polska, czy też słabą i ubogą.

Więc nie żałuj grosza, gromadźmy skarby, bo wydatków czeka nas moc ogromna! Składajcie ofiary — na skarby śląskie, na zdobycie, nieodzowne zdobycie dla Polski Śląska.

Składki przyjmuje Komitet Zjednoczenia Górnego Śląska z Rzecząpospolitą Polską.

Krakowskie-Przedmieście Nr 60
Telefon 86-46.
Od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.
W niedziele i święta od 10 do 2 pp.

Rachunki w Bankach:

Bank Związku Spółek Zarobkowych E. 486.

Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa 392.

Pocztowa Kasa Oszczędn. 1042.

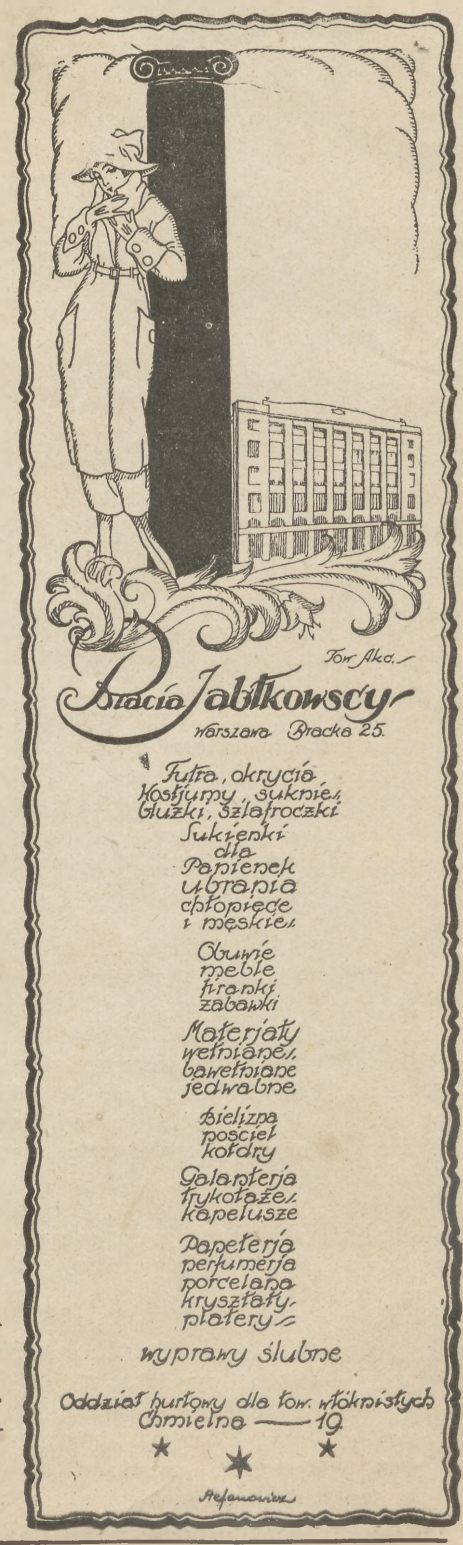
Bank Rolniczy—Poznań, Pl. Wolności 14.

Warszawa, 27 maja 1920 r.



Czy śpisz spokojnie?
Czy nie jesteś nerwowym?
Czy posiadasz energię i odporność?
Czy nie cierpisz na brak apetytu?
Czy nie jesteś zniechęconym do życia lub chorym? Objawy te dowodzą, iż musisz nerwy naturalnym pokarmem **Nervivitem** wzmocnić.

W każdej aptece lub składzie otrzymasz przy **Nervivicie** dokładny opis, jak masz organizm twój uzdrowić, odnowić i wzmocnić a tem pobudzić go do nowego twórczego życia. **Nervivit** jest zdrojem rzeźkości, świeżości i młodości. Uzdrawia każdy chory organizm i usuwa przyczyny chorób.



Redakcya: ZDZISŁAW DĘBICKI, ARTUR OPPMAN (OR-OT), ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Druk Piotra Laskauera, w Warszawie, Maryensztad 8.

OCZYWISTE

jak 2×2=4, że

dobrze ułożone i celowo dane ogłoszenie zwiększa obrót i przynosi zysk każdemu przedsiębiorstwu,

ogłoszenie w Tygodniku Illustrowanym jest skuteczniejsze od każdego innego, bo:

1) Tygodnik Illus[illegible] rozpows[illegible]m tygodniowem i jedyną wielką illu[illegible]tracyą po[illegible]ącą do [illegible]stw społeczeństwa.

2) [illegible]godnik Illu[illegible]tro[illegible]zn[illegible]jemy we wszystkich [illegible] kawiarniach i cukierniach na całym obszarze Rzeczypospolitej, gdzie czytany jest przez setki tysięcy czytelników.

3) Nad ogłoszeniami Tygodnika Illustrowanego czuwa specyalista działu ogłoszeniowego i udziela wskazówek co do układu i treści.

4) Z powodu ograniczonego miejsca przeznaczonego na ogłoszenia, żadne ogłoszenie w Tygodniku Illustrowanym nie tonie w powodzi innych.

5) Ogłoszenie w Tygodniku Illustrowanym jest czytane conajmniej tydzień—a często i kilka tygodni.

Baczność!

Tygodnik Illustrowany wprowadza na II-ej stronie okładki illustrowany dział humoru pod tytułem „Humor na obu półkulach". Szczupłe miejsce przeznaczone na ogłoszenie na tej stronie szczególnie polecamy.

ZAMÓWIENIA PRZYJMUJE:

Administracja „TYG. ILLUSTROWANEGO" Zgoda 12,
TELEF. 4-14. — Od 9—4 pp.

Ceny Ogłoszeń:

Pierwsi wprowadzamy obliczenie ogłoszeń na centymetry. Odpadają więc wszelkie nieporozumienia z powodu różnej wysokości czcionek i pomyłek w obliczeniu wierszy.

1 cm wysokości szerokość 1 szpalty w kolumnie czteroszpaltowej kosztuje:

I strona okładki	Mk. 100.—	III strona okładki	Mk. 40.—
II „	„ „ 60.—	IV „	„ „ 60.—

Nadesłane Mk. 100 —

Ostatnie wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA

		Mk. fen.
Rodziewiczówna Marya.	Lato lesnych ludzi. Powieść r. 1920	108.—
Marion.	Nad Arnem i Sekwaną, powieść r. 1920	78.—
Perzyński Wł.	Polityka	24.—
Jachimecki Zdzisław.	Historya muzyki polskiej	76.80
Reiss Józef dr.	Historya muzyki w zarysie	90.—
Chrzanowski Ignacy.	Chleb macierzysty ody do młodości	12.—
Kallenbach Józef.	Triumf filomatów	14.40
Sobieski Wacław.	Żółkiewski na Kremlu	96.—
Glde K. i Rist K.	Historya doktryn ekonomicznych od Fizyokratów do czasów najnowszych. Dzieło nagrodzone przez Akademyę nauk moralnych i politycznych. Przełożył Mieczysław Kwiatkowski Tom I	108.—
Ricardo David.	Zasady ekonomii politycznej i podatkowania. Z ostatniego wydania ang. przełożyła Dr. M. Bornsteinowa	83.30
Wartość i cena.	Wypisy z dzieł autorów polskich i obcych z przedmową Władysława Zawadzkiego	66.60

Ceny podane wraz z dod. drożyźnianym.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Księgarnie GEBETHNERA i WOLFFA

Warszawa—Lublin—Łódź—Poznań
Kraków — G. Gebethner i S-ka

otrzymały na skład główny:	Mk. fen.
Biuletyn Instytutu Gospodarstwa Społecznego № 2. Kwiecień, 1920. Preliminarze budżetowe Sejmików Powiatowych b. Królestwa Kongresowego na rok 1919/20	10.—
Bory J. Dr. U podwalin Rzeczypospolitej. Uwagi o szkole i wychowaniu	6.30
Bujak Fr. Prof. Historya osadnictwa Ziem polskich w krótkim zarysie	17.—
Hartingh Z. Wieczorne blaski	100.—
Herod Franciszek Mr farm. Ustrój aptekarstwa w Polsce	15.—
Jarra E. Dr. Ogólna teorya prawa	120.—
Keller K. Stosunki narodowościowe, społeczne, ekonomiczne na Inflantach Polskich i polityczne w Letgalii	8.—
Kołomyjski J. Dr. Nasz przemysł konfekcyjny	6.—
Kosiński Ign. Dr. Stosunki nawozowe na ziemiach poskich	3.50
Krąkowski E. Inż. Prądy galwaniczny i faradyczny w elektrolecznictwie. Podręcznik dla wszystkich	2.—
Krąkowski-Jordan E. (Ekar). W noc listopadową. Poemat sceniczny w 3-ch odsłonach	15.—

Do cen powyższych dolicza się 20% dodatku drożyźnianego.

Nakładem „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“

ukazało się wytworne album

Józefa Rapackiego

P. N.

„Prusak w Polsce“

(PRO MEMORIA),

Składające się z 20 autolitografij

a poświęcone wspomnieniom polskim z czasow okupacyi niemieckiej.

Prenumeratorzy „Tygodnika Illustrowanego” otrzymać mogą album Rapackiego **po wyjątkowo niskiej cenie**, marek 40, z przesyłką pocztową marek 50. Cena Albumu w sprzedaży księgarskiej marek 70.

PRENUMERATA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“
W WARSZAWIE i z przesyłką poczt.: kwartalnie Mk. 240.—, miesięcznie Mk. 80.—
Za GRANICĄ: kwartalnie Mk. 480.—, miesięcznie Mk. 160.—
W AMERYCE: rocznie Dol. 17, półrocznie 8 dol. 50 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
1 cm. wysokości — szerokość 1 szpalty I str. okładki Mk. 100.—, II str. okładki Mk. 60.—, III str. okładki Mk. 40.—, IV str. okładki Mk. 60.—. Nadesłane Mk. 100.—. Margines II i III Mk. 200.—. Kol. ogłoszeń illustr. w tek. Mk. 8.000.—.

WARSZAWA, ulica ZGODA Nr. 12 Telefon N-r 414.
KRAKÓW, G. GEBETHNER & S-ka Rynek 22.
LWÓW, E. SOKOŁOWSKA, Jagiellońska 7.
PARYŻ, „POLONIA” 3bis, rue La Bruyère.

Agentury „Tygodnika Illustrowanego”: w Lublinie Księgarnia Gebethnera i Wolffa, Krak.-Przedmieście, w Łodzi: Księgarnie Gebethnera i Wolffa, Piotrkowska 87, oraz Biuro „Promień”, Piotrkowska 81, w Krakowie: Księgarnia Gebethnera i Sp., Rynek 23, we Lwowie: E. Sokołowska, Jagiellońska I. 7. W Poznaniu: Księg. Gebethnera i Wolffa Rycerska 36. Księgarnia Polska W. Templowicz. M. Niemierkiewicz, Plac Wolności 3. W Warszawie: kantor redakcyi „Tygod. Illustrowanego”, Zgoda 12.
Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą
Główna agentura na Amerykę: The Polish Book Importing C-o Inc. New-York, 83 Second Avenue.
Ogłoszenia przyjmują wszelkie ajentury oraz: Tow. Akc. „Reklama Polska“ w Warszawie, ul. Jasna 10; Biuro dzienników Ungra, Wierzbowa 8; L. i E. Metzl i S-ka, Marszałkowska 130; T. Pietraszek, Marszałkowska 115.

Redakcya: ZDZISŁAW DĘBICKI, ARTUR OPPMAN, ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI. Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF.

Druk Piotra Laskauera w Warszawie, Maryensztad 8.